

ZIDIRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK II.

LUBLIN, 15 MARCA 1946 R.

Nr 6

DR STANISŁAW JERSCHINA

Fortepian Szopena

Koroną poezji zionzonej pod znakiem powstania styczniowego jest słynny już dziś poemat liryczny „Fortepian Szopena” (pierwodruk w piśmie zbiorowym *Bedlikon* z roku 1865, str. 176). Bezpośrednią pobudką napisania tego utworu, jak tytuł liryk Norwida, było wydarzenie, któremu autor nadał znaczenie symboliczne. Dnia 19 września 1863 dokonali powstańcy zamachu na generalnego gubernatora Warszawy Berga, strzelając do niego z okna pałacu Zamoyskich. Po zamachu pałac został spustoszony. Jednocześnie wyrzucono z piętra na bruk fortepian Fryderyka Szopena.

Mimo tej okolicznościowej genezy należy stwierdzić, że idee poematu krystalizowały się w duszy poety od lat. Wszakże już w „Promethidionie” znajdujemy charakterystykę muzyki Szopena jako „zaśpiewu na sztukę narodową”. W „Czarnych kwiatach” zamieścił Norwid serdeczne wspomnienie przedzgonnych chwil wielkiego artysty. W nekrologu z 1849 roku mówił o polnych kwiatach (pierwiastku ludowym polskim), przemieniających się w muzykę Szopena w wartości ogólnoludzkie. W rapsodzie ku czci generała Bema oraz w wierszu „Duch Adama” spotkaliśmy myśl o śmierci, nie kończącej, lecz uwytatniającej bytowanie ducha na ziemi. — myśl, którą rozpocznie się nasz poemat. W liryku zwróconym do Nikodema Biernackiego jest pierwsza próba oddania muzyki — i to zarówno jej idei, jak piękna — za pomocą poetyckiego słowa. Wreszcie w „Buntownikach” czytamy krótką wzmiankę o kozackiej masakrze Polaków w Warszawie, której jedno wyrażenie (o biciu kolbami ożałobionych wdów) znajduje się w dosłownym brzmieniu w poemacie. Fakt tak dawnej i różnorodnej genezy dzieła tłumaczy zarazem wielką złożoność jego treści, na którą, niby warstwy geologiczne, składają się: 1) elegijne wspomnienie ostatniego widzenia się z Fryderykiem, reprezentujące najwyraźniej osobisto-liryczny pierwiastek w utworze, 2) charakterystyka muzyki Szopena na tle historiozoficznej koncepcji sztuki oraz symboliczne naświetlenie warszawskiego wydarzenia, czyli pierwiastek refleksyjny, 3) obraz kozackiej masakry, wnoszący do dzieła ton bohaterskiego rapsodu.

Zacznijmy od rozważenia elementu drugiego, co da nam zrozumienie idei zasadniczej utworu. Zdaniem Norwida sztuka Szopena osiągnęła klasyczną doskonałość, wyrażającą się w prostocie, stając na równi z dziełami Fidiasza, Ajschylosa i hebrajskiego Dawida. Z pięknnością jej jednoczy się wysoka wartość etyczna (starożytna cnota) i religijna. Muzyka ta jest własnością całej ludzkości, wyrażając najwyższe ideały starożytności klasycznej, uświęconej przez chrześcijaństwo, równocześnie zaś jest narodowa i ludowa. To zespolenie (uświęcenie, odrodzenie i przemienienie) pierwiastków ogólnoludzkich z narodowymi, klasycznymi z ludowymi, antycznymi z chrześcijańskimi i artystycznymi z etycznymi wyraża się w pełnej poezji i mistycznego uduchowania alegorii:

„...starożytna... cnota,
w dom modrzewiowy wiejski
wchodząc, rzekła do siebie:
odrodziłam się w niebie
i stały mi się arfa wrota,
wstęga ścieżka...
Hostię przez blade widzę zboże...
Emanuel już mieszka na Taborze!”

Nie tu miejsce na roztrząsanie słusności sądu Norwida o twórczości muzycznej Szopena, Cezary Jellenta wyraża się, że „wtedy, gdy ogół nie rozumiał jeszcze całej doniosłości muzycznego czynu Szopena, kiedy go brano ze strony wdzięku i poetycznej melancholii... Norwid... jasnowidząco ujmował i określał piękno i znaczenie kompozycji Szopena”. Dla nas sąd Norwida o Szopenie ciekawy jest przede wszystkim jako charakterystyczny dla sposobu myślenia wielkiego poety, pomijając to, co w dziele sztuki działa na nerwy i uczucie i jest

tością dziejowych. Nie znaczy to, aby dla Polski realnej, jako ziemi i niedoskonałego społeczeństwa, zamarło serce poety; owszem, za ziemią ojczystą tęsknić, o odrodzenie zaś narodu troszczyć się i walczyć nie przestanie on do śmierci. W tym poemacie jednak mówi tylko o ideale.

Samo zaś paradoksalne zjawisko niedoskonałości człowieka (nie narodu już, ale ludzkości) tworzącego doskonałe dzieła sztuki tłumaczy Norwid w cz. VII. Wszelka

patrzy ze spokojem myśliciela, wiedzącego, że to wieczne dążenie człowieka historycznego do ideału jest jedyną drogą zbawienia człowieka indywidualnego. Doskonałe zaś dzieła sztuki, pojawiające się z rzadką na przestrzeni wieków, samą swoją obecnością podkreślają niedoskonałość społeczeństwa, niby ów kłos dojrzały, co

„jak złoty kometa
ledwo, że go wiew ruszy,
deszcz pszenicznych ziarn prószy,
sama go doskonałość rozmiota”.

Podobnie wielkość tworu Szopena podkreśla jeszcze małość epoki, która w nim nie dostrzegła ideału. Właśnie zrzucenie fortepianu mistrza na bruk jest symbolem owej przepaści pomiędzy wielkim twórcą a karłowatym społeczeństwem. To już zatem nie rozprawa z nieprzyjacielem, jak w wierszu „Do wroga”; tu kozacy są tylko reprezentantami epoki, a wyrażenie: „ciesz się, późny wnuku, iękły głuche kamienie, ideał sięgnął bruku” jest ironiczne, ale tylko w odniesieniu do teraźniejszości, która może się „cieszyć”, że nie bruk (kulturalno-moralne doły społeczne) podniósł się do ideału, ale ideał poniewiera się w prochu.

Gdy w słowie „sięgnął” (w znaczeniu dosięgnął, jakby czegoś wysokiego i trudno dostępnego) ogniskuje się cała siła ironii, słowa „późny wnuku” mówią, że oprócz ironii jest tu coś więcej: wiara, iż późny wnuk, czyli przyszłe pokolenie, prawdziwie już radować się będzie z przepojenia ideałem całego społeczeństwa, w którym zniknie przepaść pomiędzy górą a kulturalno-moralnymi dolinami. Jak widzimy, wszystkie ogniwa tego rozumowania wiążą się z mądrością wyrafinowanego w konstruowaniu myśli dialektyka.

Podobnie podziw i zachwyt budzić musi połączenie poszczególnych części poematu. Rzecz zaczyna się od rzewnego wspomnienia ostatniej odwiedzin u Fryderyka, w chwili, kiedy już widać w nim było znamiona zbliżającej się śmierci; jakże naturalnie z tym łączy się refleksja o „uwytatniającym” wielkość zgonie (I). Szopen siada do fortepianu i zanim zacznie grać, błędzi palcami po klawiszach cichymi, miękkimi dotknięciami (II). W takiej chwili gość podziwia jego alabastrowe dłonie i marmurowo bladą twarz (III). Lecz oto zaczyna się właściwy koncert, któremu w utworze odpowiada charakterystyka muzyki Szopena i zaklęta w nią wizja idealnej Polski (A w tym, coś grał...I była w tym Polska... IV, V). Pieśń kończy się cichym finałem (coś jakby spór dziecięcy...) podobnym do wstępu (VII). Lecz dusza słuchacza porwana muzyką w sferę metafizycznych idei jeszcze tam czas jakiś przebywa, doprowadzając do końca myśl o wiecznym dopełnieniu i brakach (VII). Części VIII i IX, stanowiące tematyczne jądro utworu, są dramatyczną ilustracją myśli części poprzedniej. Część ostatnia wyjaśnia symboliczne znaczenie wydarzenia, przedstawionego w części IX. Związek pomiędzy częściami jest czysto wewnętrzny, ideowy, nie zaznaczony — z wyjątkiem słów „a w tym coś grał” — żadnymi wyrażeniami łączącymi. Ta logiczna współzależność i ciągłość sprawia, że mimo wielkiej różnorodności elementów — rzecz stanowi organiczną całość.

Nie jest to wprawdzie jedność „spżozwa”, jak słusznie zaznacza M. Kridl (Artykuł „Liryka Norwida”, druk w „Drodze”), niesłusznie uważając to za minus utworu, jakoby mniej wartościowego od rapsodu o Bemie, (ciąg dalszy na str. 2-ej)



CYPRIAN NORWID

wyrazem przejmującego nastroju, a dążącego do uchwycenia metafizycznej istoty zjawiska i rzutującego je na tło historiozoficzne (cz. V i VII). Tak więc w cz. V poematu czytamy, iż narodowość muzyki Szopena nie ogranicza się do odtwarzania pewnych cech duszy polskiej, ale jest odbiciem Polski samej „od zenitu wszechdoskonałości dziejów wziętej tęczą zachwytu”.

W tym miejscu jesteśmy świadkami ostatecznego zakończenia się procesu owego rozdławiania się w świadomości poety pojęcia ojczyzny, procesu, który zauważyliśmy ledwo zaznaczony w wierszach z lat 1862—1863. Oto przedmiotem umiłowania staje się platoński ideał Polski wiecznej i niezmiennej w swojej istocie, Polski „przemienionych kołodziejów”, a więc wiejskiej, rolniczej, słowiańskiej, podniesionej i uświęconej prawdą Chrystusową do zenitu war-

twórczość (artystyczna, literacka, naukowa, społeczna i polityczna) jest wyrazem (profilem) miłości człowieka do ideału (Boga) i tęsknotą do odtwarzania przedmiotu swej miłości. Celem pracy ludzkiej jest pełne, a więc wszelkie jej dziedziny obejmujące „wypełnienie” tego pragnienia osiągnięcia chwili, kiedy by można powiedzieć, że consummatum est na każdym polu. Lecz mimo ciągłego zbliżania się, celu tego ostatecznie ludzkość osiągnąć nie może, bo „piętnem globu tego niedostatek: dopełnienie go boli, on rozpoczynać woli i woli wyrzucać wciąż przed się zadatek”.

Jest to myśl wiersza „Święty Pokój”, ale pozbawiona lez, osobistego cierpienia; wyraz „boli” jest tu już znakiem zobiektywizowanego dziejowego zjawiska, na które poeta

Fortepian Szopena

(dokończenie ze str. 1-ej)

ale muzyczna. Jak w większych kompozycjach Szopena słyszymy tony elegijne, brawurowe passáže, pianissima i grzmiące uderzenia, a wszystko złączone zasadniczym tematem muzycznym, tak i w poemacie Norwida różnorodność i zmienność pokonują same siebie wspólnym tematem, którym jest: muzyka (fortepian) Szopena. Wprawdzie i w rapsodzie ku czci gen. Beerna widzieliśmy wielką rozmaitość elementów związanych wspólnym tematem patetycznego pochodu; gdy jednak tam zewnętrznym wyrazem jedności była plastyczność wizji malarsko-tanecznej, tu wypowiada się ona za pomocą muzycznego charakteru wszystkich części.

Muzyczność to zaś prawdziwie klasyczna, daleka od wszelkich monotonnych melodyjności, fujarkowych kwileń i sentymentalnych dumek w rodzaju Pola, Lenartowicza czy Zaleskiego. Stanowi ją obok tematu i kompozycji wspaniale zmienny rytm, oddający treść myślową i uczuciową każdego wiersza, a na jego tle obok pojęć i obrazów zawartych w słowach — bezpośrednio oddziaływanie dźwiękami. Tu należą przede wszystkim części II i VI, do złudzenia oddające błędzenie po klawiszach półców wirtuoza pieszczącego się tonami, zanim zacznie właściwą muzykę — oraz echa przebrzmiałych akordów. W ostatniej zaś części poeta, powtórzywszy słowa o wielkości Szopena odtwarzającego idealną Polskę, uderza wstrząsającą onomatopoeją:

„Ten sam — runął — na bruki —
z granitu...

I oto jak ciało Orfeja

tysiąc pasyj rozdziera go w części,

a każda wyje nie ja!

nie ja! zębami chrzęści —

Lecz ty? lecz ja?”

Jest w tych wierszach i uderzenie ciężkiego instrumentu o twardy bruk, i chrzęst poszarpanych strun, i ich przeciągły jęk, wywołany już nie męką muzyka, lecz brutalnym uderzeniem; i wszystko to tym przedziwniejsze, że równoczesne z obrazem zupełnie odmiennym: Orfeusza szarpanego przez bachantki. Tak więc poemat o muzyce jest niemal dziełem muzycznym. Dzięki jednak indywidualności autora, widzącego i słyszającego wszystko przez pryzmat własnych idei, również i muzyka grająca w jego wierszach, pozbawiona rozdzierającej melancholii i romantycznej rozlewności, a przepojona metafizyką, przywołuje na pamięć obok Szopena innego wielkiego kompozytora: Beethovena.

Muzyczność nie wyczerpuje jednak artystycznych walorów dzieła, odznaczającego się nadto wybitną obrazowością. Wśród przeżyć muzycznych jawi się nam blada twarz kompozytora i alabastrowa dłoń, to muskająca na podobieństwo pióra strusiego białą jak ona sławiaturę z słoniowej kości, „to błogosławiaca wszelkiemu akordowi“. Gdy on sam wygląd posągu dłuta „geniusza wiecznego Pygmaliona“, a więc rzeźbiarza, co się rozkochał we własnym dziele dla jego piękności, — dusza gasnącego artysty przypomina lirę upuszczoną przez konającego Orfeusza, w której się „rzutu moc z pieśnią przesila“. Doskonałość dzieła Szopena zamysławia kłopotliwy, prószący ziarnem za lada powiewem wiatru, szczegółowa zaś jej charakterystyka zawiera się w wizji hostii słonecznej nad zbożowymi polami, przez które ku modrzewiowej chacie idzie postać Cnoty starożytnej i mówi: arfa mi są wrota, wstęga ścieżka... Udratmiewana ta wizja, migawkowy skrót średnio-wiecznego moralitetu, przypomina alegoryczne dramaciki z wierszy Wielkość i Dedykacja I, wznosi się jednak ponad nie mocą mistycznego uczucia i blasku w sfery empirejskie. Z wyżyn tych przenosi nas autor w sam środek ziemskiego piekła: Oto paru kreskami naszkicowana Warszawa z charakterystycznym mieczem Zygmunta III nad patrycjalnymi domami starego miasta, a na ulicach sottonie kozackie masakrują uciekające tłumy. Ponad płomieniami i dymem jawiący się czarny „sprzęt podobny do trumny“ i padający na bruk to punkt kulminacyjny i katastrofa tragedii rozegranej w kilku wierszach; całość zaś wizji — to najwyższy wyraz dynamiki obrazów ruchomych w poezji Norwida. Wracając w porównaniu końcowym postać Orfeusza, tym razem szarpanego na sztuki przez furie, jest obrazowym odpowiednikiem

symbolicznego przedstawienia faktu rozbitcia fortepianu Szopena.

Każdy z obrazów tych, odmienny w treści i ujęciu, godzien jest osobnych rozważań; wspólną cechą wszystkich jest wybitna wartość emocjonalna. W jednych wibruje cichy smutek za zmarłym, w innych zachwyty nad jego piękną zewnętrzną i duchową lub do ekstazy dochodzące uwielbienie jego muzyki oraz odbijającej się w niej idealnej Polski. Z uczuciem grozy na widok masakry łączy się wznieście oburzenie wywołane świętokradztwem oraz utajoną, synowską miłość do najdroższego miejsca na ziemi: Warszawy... Ta emocjonalność, silnie udzielająca się czytelnikowi, z jednej strony roztopia pierwiastek malarski w muzycznym, z drugiej zaś sprawia, że cokolwiek by się o plastyczności i muzyczności, dramatyczności i dynamice Fortepianu Szopena powiedziało, jest on dziełem na wskroś lirycznym.

Aby należycie ocenić znaczenie Fortepianu Szopena w literaturze polskiej, należy go porównać z innymi utworami poezji, muzyce Szopena poświęconej. Wśród całego szeregu liryków Kaplickiego, Wolskiego, Ujejskiego, Konopnickiej, Tetmajera i in., mogą tu wchodzić w rachubę tylko dwa dzieła w większym stylu: Wolskiego Fryderyk Szopen i Ujejskiego (jako jeden człon z cyklu tłumaczeń Szopena) Marsz żałobny. Pierwsze z nich — to obszerny poemat liryczny, wydrukowany w Bibliotece Warszawskiej 1850 roku, odtwarzający w szeregu swojskich obrazów nastrojów sonat, polonezów, mazurków, walców i nokturnów Szopena, do których to gatunków muzycznych autor stara się dostosowywać rytm wiersza o zmiennej zwrotce. Jako poetycka próba syntezy całej twórczości wielkiego kompozytora, utwór ten znany był z pewnością Norwidowi, który pisarstwem Warszawy stał się interesował. Bardzo też możliwe, że przykład Wolskiego odegrał pewną rolę w genezie Fortepianu. Drugim wybitnym dziełem z tej dziedziny jest znacznie sugestywniejsza od utworu Wolskiego parafraza Marsza żałobnego, pióra Kornela Ujejskiego. Głęboko wzrusza w poemacie tym tragedia małżonka idącego za trumną młodej żony, która „na atlasie cicha, biała, ręce trzyma w krzyż“. Poza tym podobieństwo do kompozycji, również odtwarzającej stan duszy wijącej się w bólu na tle ponuro bijących dzwonów, jest uderzające. Jak widzimy, pewne, bardzo zresztą powierzchowne analogie z Norwidem dałoby się wskazać tylko w utworze Wolskiego: oprócz ujęcia syntetycznego — zaznaczenie polskości muzyki Szopena (pogrzeb żołnierza), ludowości oraz związku z muzyką światową (Weber, Mozart, Beethoven). Jakież to jednak dalekie w gruncie rzeczy od metafizycznego ujęcia Norwidowskiego, sięgającego w samą istotę zjawiska z pominięciem tych właśnie nastrojowych elementów, które Wolski traktuje pierwszoplanowo. Nie bez znacznego nawet prawdopodobieństwa można przypuszczać, że po zapoznaniu się z pomysłem Wolskiego zapragnął Norwid sięgnąć do niego głębiej, która to myśl stała się ciałem pod wpływem zamachu na Berga. Jako dzieło poezji stoi twór Norwida wysoko ponad Wolskim i Ujejskim, zarówno głębokością myśli, jak oryginalnością i piękną obrazów, muzycznością formy, siłą ekspresji i wyrafinowaną subtelnością kompozycji.

Ale i te walory nie wyczerpują jego znaczenia. Wiemy, jakie Norwid stawiał wymagania eposowi, którego powstanie w bezhistorycznym okresie życia narodu polskiego uważał za niemożliwe, Otóż, nie mogąc stworzyć eposu, dał w dziele lirycznym to, czego oczekuje się od eposu: syntetyczne odbicie duszy narodu, wypowiedziane najdoskonalszą mową poezji. Ponieważ zaś sądził słusznie, że „aby być narodowym, trzeba się stać nadnarodowym“, przeto i w poemacie jego stapia się z narodowością ludzkość w najszlachetniejszy kruszec pod tęczową kopułą miłości Boga. Z tego powodu „Fortepian Szopena“ pomieścić musimy w panteonie wartości, o których powiedział nasz Wajdelota, że pozostaną żywymy nawet wtedy, gdy „płomień rozgryzie malowane dzieje, skarby mieczowi zagrabią złodzieje“. Sam zaś tytuł autora „Fortepianu Szopena“ jest już wystarczającym tytułem wielkości.

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

Szkodliwy fetyszym

Czasopiśmiennictwo nasze przekroczyło w tej chwili stan przedwojenny. Ilość tygodników, dwutygodników oraz miesięczników, wychodzących w kraju, jest imponująca. Poziom naogół dość przeciętny. Charakterystyczną cechą periodyków literackich, jak i społeczno-literackich jest ich zasadniczy podział według linii wyznawanych doktryn. Na pierwszy plan wysuwają się dwa obozy: marksistów i katolików. Pierwsi głoszą swe „słowo“ z ambon takich, jak: „Kuźnica“ i „Odrodzenie“, nie licząc pomniejszych, drudzy zaś przemawiają ze szpalt „Tygodnika powszechnego“, „Tygodnika warszawskiego“ i innych.

Od szeregu już miesięcy obserwujemy zapasy tych dwu światów, zapasy przybierające z dnia na dzień na zacieklności i sile. W ferworze zacietrzewienia szermierze niejednokrotnie tracą takt, zdrowy rozsądek i umiar, wpadają ze szczytów powagi olimpijskiej w śmieszność.

W ten więc sposób nie tylko powrócono do niezdrowych praktyk przedwojennych, opartych na fundowaniu „kapticzek“ literackich, ale posunięto się znacznie dalej. Słowem, jak pałąk z „Bajek“, wywija się na lewo i na prawo w obronie t. zw. „prawd ideologicznych“. Coraz bardziej zanika u nas poczucie odpowiedzialności za to wszystko, co się czyni i co się pisze. Jest to z pewnością jeszcze jeden ze śladów tych potężnych spustoszeń, jakie w duszach ludzkich pozostawiła ostatnia wojna.

Walka o taki czy inny światopogląd, o taki czy inny kierunek ideologiczny jest rzeczą nie tylko że normalną, ale i pożyteczną. Ale środki wiodące do tego celu muszą być rozsądne i naprawdę godziwe. Polemika nie może zamienić się we wzajemne lżenie i ordynarne napaście. Tymczasem nasze czasopisma pełne są hałasu, wrzawy tam-tamów, niesmacznego reklamiarstwa i megalomańskiego belkotu. Oto n. p. Jan Kott użala się w „Odrodzeniu“ na opieszłość ambasady Rzplitej w Londynie, na to znów niejaki pan Ludwik Fen w liście skierowanym do redakcji wymyśla mu od przedstawicieli „kultury i sztuki“ (przez małe „k“ i małe „s“), a na to wszystko odzywa się jeszcze jeden z rodziny Fenów, by krnąbrnego „Ludwika“ na łamach „Kuźnicy“ pociągnąć za ucho, za to, że z zawiści i złej krwi maści wodę. I tak dalej.

Niektóre z pism tak zwanych centralnych posiadają pewną charakterystyczną cechę, a mianowicie: nie znoszą intruzów. Intruzem natomiast jest każde nowe wydawnictwo periodyczne (z małymi wyjątkami) o charakterze społeczno-literackim, jakie ukazuje się na rynku. Wtedy zamiast pomóc, doradzić, z pasją rzuca się „przeglądacz“ prasy na noworodka, by go zahukać, z miejsca słać, aby czasem nie próbował lotu. Zaczyna się dziki, indyjski taniec z tomahawkami, taniec mający zdezorientować opinię publiczną oraz wykazać, że to wszystko, co ktoś tam przedsięwziął, nie ma najmniejszego sensu, skoro są już organy „centralne“, jedyne i wszechdoskonałe. Tymi mierzyc się może tylko szaleniec! To nic, że szpalt tych pism więcej nuda, to nic, że tygodniki o „ogólnopolskim“ zasięgu przypominają „Wiadomości literackie“ czy „Prosto z mostu“, albo że grupa olimpijczyków, głosząc ładnie brzmiące hasła radykalizmu społecznego, zamknęła się w swym doktrynerstwie i ani myśli zstąpić do mas, by nawiązać z nimi szczerzy, bezpośredni kontakt.

Pamiętamy niedawny najazd na ciekawą i pożyteczny tygodnik „Wieś“, żywo stojący nam jeszcze w pamięci utarczka z „Odrą“, a już prawie stale jesteśmy świadkami wypadów pod adresem „Życia literackiego“. Podobną taktykę stosuje się też i do innych czasopism. Najlepszym tego przykładem niech będzie chociażby recenzja z pierwszego numeru „Przeglądu artystycznego“, wydawanego przez Związek Zawodowy Plastyków Polskich w Krakowie, zamieszczona w „Odrodzeniu“. Jest rzeczą godną podkreślenia, że atakowani i napastowani rzadko kiedy odpowiadają podobną bronią. O napastnikach pisze się zazwyczaj obiektywnie, bez żółci i wątrobiarskich chwytów. Wyjątek stanowią tylko pisma z przeciwnej strony barykady, bynajmniej nie oszczędzające przeciwnika.

Ludzie głoszący na codzień hasła demokratyczne, zwolennicy radykalnych przemian społecznych i zaprzysiężeni przyjaciele mas pracujących, zapominają w swym „twórczym“ trudzie właśnie o tych masach, o „dołach“, które podobno mieli zamiar uszczęśliwić, podciągnąć wzwyż, jak i nasycić chlebem i pieśnią. Tymczasem wszystko kończy się na scholastycznych rozważaniach, stanowiących trzon literackich organów „centralnych“ z „Odrodzeniem“ i „Kuźnicą“ na czele. A jednocześnie zwalcza się każdą próbę innego, odmiennego podejścia do sprawy, ośmiesza się oraz tłumi każdą niemal koncepcję, rzuconą na łamach innego z pism. Z powagą augurów wydaje się na prawo i na lewo sądy i wyroki. Z rozbijającą wiarą we własną nieomyślność poklepuje się protekcyjnie tych, którzy do dorobku kultury narodowej wnieśli trwałe, niezaprzeczone wartości, albo (gdyby ktoś odważył się myśleć inaczej) rozpoczyna się najazd i to najazd nie przebiegający w środkach. Przy tym widzi się żdźbło w oku bliźniego, nie dostrzega zaś belki we własnym (najlepszym tego przykładem niech będzie choćby afera związana z plagiatem rzekomo „autentycznej poetki chłopskiej“ Stefani Rudnickiej, „odkrytej“ przez J. Przybosia, związanego z „Odrodzeniem“). Jest to metoda t. zw. „demokracji na pokaz“.

W pierwszych dniach września r. ub. ukazało się w Lublinie czasopismo „Zdrój“. Wydawnictwo to podjęła grupa ludzi, pragnących hasłu upowszechnienia kultury i sztuki nadać realną treść. Inicjatorzy pisma wyszli ze słusznego założenia, że nie ma pełnej demokracji tam, gdzie obok zapewnienia chleba nie gwarantuje się jednocześnie najszerzszym rzeszom pracującym dostępu do źródła kultury i sztuki. Stąd też „Zdrój“ wyrul na swej tarczy słowa: „Kultura i Sztuka dla mas“. Jest to najbardziej rewolucyjne z hasel, jakie w ogóle demokracja wypisała na swych sztandarach. Oznacza ono i książki zabłakane pod strzechy, na oścież otwarte sale teatralne, koncertowe i wystawowe oraz udział piękna w codziennym życiu każdego z obywateli.

Kiedy się mówi o upowszechnieniu kultury, jedni (z prawej strony barykady) radząby widzieć specjalnie spreparowaną literaturę oraz takiż teatr dla „bogobojnego ludku“, sztukę o małym „popularnym“ poziomie, drudzy zaś (z lewej) uważają, że wystarczy tworzyć sztukę elitarną, trudną, niezrozumiałą i niedostępną dla przeciętnego konsumenta, a przecież „ogół“ kiedyś dojrzeje. Tymczasem prawdą jest, że tak, jak twórcy nie wolno nagiąć się, obniżać do poziomu szarego odbiorcy, tak też i bezsensowne jest mówienie w próżnię, praktykowane, o ironio, właśnie przez radykałów. Dlatego „Zdrój“ wybrał inną drogę: przygotowania społeczeństwa do tak trudnej, ale i tak zarazem ważnej roli konsumenta dóbr kultury i sztuki. Stąd też pismo to liczy przede wszystkim na odbiorcę tkwiącego raczej na głębokiej prowincji, niż w dużym mieście, na szkoły powszechne i średnie, świetlice wiejskie i fabryczne oraz na przodowników życia społecznego i gospodarczego, nie mówiąc już o tych wszystkich, dla których obcowanie z zagadnieniami Piękna upowszechnionego jest prawdziwą potrzebą.

Wiemy, że akcja ta musi być rozłożona na lata, że wielką rolę ma tutaj do spełnienia szkoła, ale inicjatywa ta była konieczna, wręcz niezbędna i prędzej czy później musiał ją ktoś podjąć. Dlatego też „Zdrojowcy“ pracują z niegasnącym entuzjazmem, łamiąc stale piętrzące się przeszkody, byle tylko przybliżyć ten moment, kiedy w Polsce ludowej słowa: „kultura i sztuka dla mas“ staną się nie znoszonym frazesem lecz ciałem. To już nie wygodny sybarytyzm pięknoduchów, uprawiających „demokrację na pokaz“, ale „orka na ugorze“, z wiarą w potrzebę, a nawet w obowiązkiem takiego wysiłku.

„Zdrój“ w ciągu swego przeszło już półrocznej działalności spotkał się z przychylnym, a często nawet i gorącym przyjęciem prasy. W dwutygodniku tym powitano nie „prowincjonalny“ organ społeczno-literacki, ale jedyne tego rodzaju pismo w Pol-

sce, próbujące ogarnąć swym zasięgiem możliwie najszersze połacie kraju, by tam krzewić swą ideę Piękną na codzień. I słusznie, gdyż „Zdrój” posiada w tej chwili prenumeratorów tak w Lubelszczyźnie, jak i w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Gdańsku, Kielcach, Radomiu, Poznaniu, Wrocławiu i Jeleniej Górze. Życzliwe omówienia czasopisma, z podkreśleniem światła i cienia, czasem zaś wręcz entuzjastyczne, pojawiły się dotąd w: „Kurierze Codziennym”, „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Ludowej”, „Dzienniku Ludowym”, „Kamieniu” i innych. Drukowały zaś w tym czasie na łamach „Zdroju”: Feliks Araszkiewicz, Wojciech Bąk, Jarosław Iwaszkiewicz, Juliusz Kleiner, Stefan Kawyn, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Józef Grabowski, Hanna Malewska, Jan Parandowski, Wojciech Natanson, Jan Wiktor, Witold Zechenter oraz wielu młodych i mniej znanych.

Jedynie tylko „Odrodzenie” zamiast przyjąć młodemu piśmiu z cenną i przyjazną radą, zamiast wskazać światła i cienie, już w pierwszej recenzji dało ujście w sposób rzadko praktykowany całej swej niechęci do nowego intruza, intruza, zajętego organizacją metod i środków, mających służyć do wychowania przyszłych odbiorców dzieł, stworzonych między innymi i przez stałych współpracowników wspomnianego organu. A przecież zdawało się, że właśnie dwóm piśmiom: „Odrodzeniu” i „Kuźnicy” powinien być „Zdrój” najbliższy.

Trzeba tutaj specjalnie podkreślić, że wyżej wspomniane tygodniki zbyt często akcentują swoją (wcale nie demokratyczną) pogardę dla t. zw. „zatechłej prowincji”. A więc w ich mniemaniu poznańskie „Życie Literackie”, katowicka „Odra”, łódzka „Wieś”, chełmska „Kamień”, „Zdrój”, są to li tylko czasopisma „prowincjonalne” i to naturalnie w najgorszym tego słowa znaczeniu. Nic to, że „Kamień” tak przed wojną, jak i teraz zasięgiem swym obejmuje niemal całą Polskę, że „Zdrój” jest jedynym piśmiem tego typu w kraju. To wszystko „prowincja!” Ale zapomina się o tym, że, gdy tak niedawno jeszcze w Lublinie wychodziło „Odrodzenie” (skromnie zresztą i mizerne), od razu, od pierwszego numeru było „organem centralnym” i to do tego z góry doskonałym!

W jednym z ostatnich numerów „Kuźnicy” znajdujemy tyle lekceważenia, tyle ukrytej pogardy dla prowincji, wydającej „zabawne” rzeczy („Noty”), że ogarnia niepokój. Tam też napotykalmy próbę ośmieszenia zasłużonego dla kultury polskiej redaktora „Kamienia” i długoletniego bojownika o demokrację, Kaz. Andrzeja Jaworskiego, za jego artykuł o Serg. Jesieninie, zamieszczony w czasopiśmie „Światło”. Są to symptomy niepokojące i wymagające zastanowienia.

Zapatrzeni wyłącznie w siebie, o jednej rzeczy pewni publicyści nie wiedzą, a mianowicie o tym, że ta „zatechła prowincja”, wiecznie wyszydzana i wiecznie traktowana jak „afrykańska kolonia” w ciągu pierwszego roku niepodległości w dziedzinie upowszechnienia kultury i sztuki uczyniła postęp siedmiomilowy, że np. w takim Zamósću, Jarosławiu, Chełmie, Szczecinie, Łukowie czy Krośnie działają stałe ośrodki teatralne, że od miasteczka do miasteczka wędrują objazdowe wystawy plastyki, że w zapadłych kątach Lubelszczyzny koncertują najlepsi nasi wirtuozi, a autorzy, porzuciwszy drzemkę, stanęli wśród chłopów i robotników, by mówić o swym dziele.

Ale, by o tym wiedzieć, nie wystarczy mieć nawet talent, lecz należy wyjść poza Kraków, Łódź, Gdańsk lub Poznań i wsłuchać się w głos tych „dolów”, o których się tyle pisze, tyle deklamuje, a których się naprawdę nie zna. Inaczej wciąż nie wydrzemy się zaklętego koła „demokracji na pokaz”, choć już bez pawich piór i lezki.

Przez sześć miesięcy nie wspominaliśmy o tych sprawach, by zgrzytem, swarami i żółcią nie zatruwać atmosfery pisma. Ale, kiedy odgłos tam-tamów stale się przybliża, gdy inwazja megalomanii wzrasta, a zamiast tak potrzebnego w tej chwili braterstwa i współdziałania w życiu literackim poczyna szaleć bezkarnie gangsterstwo słowa, mówimy o tym szczerze i otwarcie. Trzeba bowiem już raz skoczyć ze skodliwym fetyszyzmem, zwłaszcza gdy ten pochodzi z obozu podpisującego się drogim dla nas i świętym słowem: Demokracja!

KAZIMIERZ BARAŃSKI

O „POLSKIM RADIO” SŁÓW KILKA

Jedną z najbardziej ciekawych, lecz bardzo trudnych do prowadzenia instytucji jest rozgłośnia radiowa, a więc u nas „Polskie Radio”. Wszyscy doskonale wiemy, jak wielką rolę odgrywa. Jest ono i propagandą i informacją o najważniejszych zdarzeniach zarówno naszych, jak i zagranicznych; jest w pewnej mierze gazetą i książką popularną i nawet teatrem; jest salą koncertową. Każdemu może sprawić przyjemność, gdy jest dobrze rozplanowane programowo i gdy jego t. zw. „audycje” zarówno słowne jak i muzyczne przedstawiać będą wartość artystyczną. Ale może być również i instytucją przykrą, denerwującą i drażniącą, gdy z radioodbiornika słyszmy prelekcje nudne, banalne, wypowiadane często głosem zakatarzonym, zachrypniętym lub niemile brzmiącym; gdy prelegent, lub częściej prelegentka, starają się o bardzo wyraźną wymowę, w rezultacie zaś uzyskują sztuczność i przesadę; gdy wreszcie największa atrakcja — muzyka, zamiast dostarczenia nam przyjemnych wrażeń lub kojącego działania na nasze nerwy, stargane i zmęczone długotrwałym okresem wojennym budzi poważne zastrzeżenia ze względu na zniekształcanie dźwięków przez głośniki.

Przed wojną „Polskie Radio” posiadało przeszło 1.000.000 abonentów, pomimo to nasylenie kraju było niedostateczne. Wiele przyczyn złożyło się na to, głównie zaś wysoka stosunkowo cena aparatów oraz słaby stan elektryfikacji i wypływające stąd trudności obsługi radioodbiorników. Jakkolwiek w tym okresie „Polskie Radio” spotykało się z poważną krytyką swego programu, przeważnie zasłużoną, liczba abonentów wzrastała stale — radio stawało się potrzebą, a radioodbiornik sprzętem niezbędnym. Prawda, że radio było czasami nieznośne, dokuczliwe, zwłaszcza w miesiącach letnich, gdy okna w domach były pootwierane i zewsząd grzmiała muzyka czy odzywały się głosy, przerażające donośne, niekiedy kolidujące z sobą i wytwarzające drażniący i denerwujący hałas. Lecz te złe przejawy radia można było opanować przez odpowiednie zarządzenia, co też uczynione zostało.

Radio jest gościem. Goście bywają różni: mili i pożądati, ciekawi i interesujący, nudni i banalni, natrętni i odpychający. To też program radiowy powinien być tak ułożony i tak zmontowany, by każdy z abonentów mógł w nim znaleźć, przy tym w godzinach dla niego najbardziej odpowiednich, „coś dla siebie”, zetknąć się z tym właśnie miłym i pożądanym gościem. Dlatego opracowanie ram programowych oraz wypełnienie ich właściwą i sugestywną treścią jest istotnie rzeczą trudną. Ludzie radia muszą być inteligentni, fachowi i wytrwali. Ponadto powinni oni posiadać duże wyczucie właściwości sugestywnych poszczególnych audycji, ich ciężaru gatunkowego. Opierając się na materiale, dostarczone przez Biuro Studiów — komórkę, która dla radia ma nieocenione znaczenie, dobierając odpowiednich ludzi i jako prelegentów, i jako wykonawców poszczególnych odcinków programu, mogą się spodziewać, że zdobędą uznanie u większości abonentów. Postępując zaś konsekwentnie i usuwając błędy, które zauważać się dadzą przy tego rodzaju taktyce, mogą również ustosunkować przychylnie do radia i tych, którym ono nie odpowiadało lub którzy reagowali na nie obojętnie.

Trzeba przyznać obiektywnie, że ułożenie programu w naszych warunkach jest wyjątkowo trudne. Mamy życie nieuregulowane. Rozpiętość pomiędzy inteligencją a szerokimi masami jest u nas jeszcze duża. Specjalne warunki powojenne też niepoślednią rolę tutaj odgrywają. Ale i w takich nawet warunkach można opracować program, dostosowany do naszych potrzeb państwowych, program, któryby na odcinku naszej kultury spełnił wykreślone mu zadanie. Jest jednak pewne „ale”, które, zdaniem moim, utrudnia je bardzo. Tym „ale” jest strona techniczna — głośniki. Do słuchania radia nikogo zmusić nie można, jeżeli ono nie będzie atrakcyjne i jeżeli nie będzie gwarantowało dobrego odbioru.

Państwo wydaje poważne sumy na Polskie Radio. Byłoby to jednak uzasadnione, gdyby cel został osiągnięty. Czy tak jest

istotnie? Czy Polskie Radio, opierające się na głośnikach przeważnie ulicznych i świetlicowych i znikomo małej ilości radioaparatów lampowych (około 130.000) daje ten efekt, jakiego się od niego wymaga? Czy propaganda oraz upowszechnienie wiedzy i nauki obejmują istotnie szerokie kręgi słuchaczy? Mam poważne wątpliwości. Dopóki nie będziemy mieli odpowiedniej ilości odbiorników radiowych, rozsianych gęsto po domach prywatnych; dopóki nie postawimy stacji radiowych o takiej mocy, któraby pozwoliła w każdym zakątku Polski słuchać audycji przynajmniej centralnej i reprezentacyjnej rozgłości; dopóki nie osiągniemy przy dobrym programie dobrego odbioru — rozgłośnie Polskiego Radia uderzać będą w próżnię.

Trzeba stworzyć w kraju fabrykę aparatów radiowych. To nie jest rzecz łatwa. Państwowa fabryka, istniejąca przed wojną, wypuszczała odbiorniki lampowe, słabe jednak, by zasięg ich był duży. W każdym razie początek był zrobiony i mogliśmy, przy opanowaniu technicznym produkcji, mieć własną, dobrą wytwórnę aparatów wielolampowych. Zanim zdobędziemy się na nową fabrykę, należałoby zażądać, przy ostatecznym rozrachunku naszym z Niemcami, zwrotu kilkuset tysięcy radioodbiorników, zrabowanych przez okupanta naszej ludności.

Wydaje się również wskazane, by było jeszcze raz podkreślone, że każdy może mieć u siebie aparat radiowy, jaki mu będzie dogadzał. Pozytywne rozstrzygnięcie tej sprawy bezwzględnie wpłynie na zwiększenie się ilości abonentów, pomimo wysokiej ceny aparatów, choć nie ulega wątpliwości, że tani aparat i zmniejszona opłata abonamentu mogą wybitnie wpłynąć na ich wzrost.

Dla naszego Państwa, mającego kolosalne wydatki, spowodowane wojną, horykającego się z trudnościami finansowymi wobec zrujnowanego przemysłu i handlu oraz nie mogącego zapewnić swoim pracownikom odpowiedniego wynagrodzenia, każde zbyteczne, a tym bardziej znaczne obciążenie budżetu jest nie tylko objawem niepożądanym, ale i szkodliwym. „Polskie Radio” winno być instytucją samowystarczalną. Przed wojną było nią, pokrywając nawet dług, zaciągnięte na budowę Warszawy oraz robiąc nowe inwestycje. I dziś „Polskie Radio” może tę samowystarczalność osiągnąć, nie wyrzekając się roli, jaką mu wyznaczyły czynniki państwowe, pod warunkiem, że abonenci nie będą mieli żadnych przeszkód w wyborze aparatów wielolampowych; że odzyskane zostanie zrabowane nam przez Niemców te kilkaset tysięcy aparatów; że, co najważniejsza, program radiowy będzie stał na wysokim poziomie artystycznym tak co do treści jak i wykonania, a także że będzie on interesujący i rozplanowany szczęśliwie.

A teraz nowe zagadnienie — komu powinno podlegać Polskie Radio? Logicznie biorąc, temu Ministerstwu, które najbardziej jest zainteresowane programowo. Ponieważ 60 do 70% programu, to audycje literackie i muzyczne, podlegające kontroli Ministerstwa Kultury i Sztuki, temu więc ostatniemu powinna przyspaść rola kierownicza i nadzorcza. Naturalnie, że wtedy także interesy Ministerstwa Informacji i Propagandy jak i Oświaty byłyby należycie respektowane.

Bez względu na to, jak sprawę tę rozstrzygną ostatecznie właściwe czynniki, dla ułatwienia Dyrekcji Programowej „Polskiego Radia” układania programu, a także aby ten program wiązał się ściśle z pracą i wytycznymi Ministerstwa Kultury i Sztuki, Informacji i Propagandy, Oświaty oraz Rolnictwa i Reform Rolnych, byłoby wskazane utworzenie przy Prezydium Rady Ministrów (przy mającym powstać Komitecie Kulturalnym) Rady Programowej, do której prócz zainteresowanych ministerstw mogliby być zaproszeni przedstawiciele instytucji czy organizacji, według uznania Obywatela Premiera. Tam opracowywano by wytyczne i stamtąd udzielano by wskazówek, którymi kierować się ma Dyrekcja Programowa. Wtedy nastąpiłaby istotna współpraca pomiędzy Polskim Radio, wspomnianym wyżej ministerstwem oraz organizacjami.

WOJCIECH BĄK

Z Piętej Ewangelii

Po nocy grozy, gdy firmament
Bombami sypał się na miasto,
Domy płonące! Gluchy zamęt!
— I krzyk strażaków, rannych lament —
I zbici owczym stadem ciasno...

Wynoszą z piętrowych niedopalonych
Szafy kalekie, krzesła szczątki —
Wpatrzeni w dom — przed ruiną zgonem —
Ratują rzeczy poranione —
Stół o trzech nogach, przypalony,
Garnek stłuczony, nóż stępiony,
Jak rannych braci, siostry chore —
Pamiętki!

I nie chcą odejść... Już te schody
Nie wyjdą im z płaczących oczu —
Po szkle przechodząc do ogrodu,
Jak po krwawiącym ciele kroczą —
I nie chcą odejść... Bo ta ścieżka
Pamięta jeszcze stóp ich dotyk —
I tu na trzecim piętrze mieszkał
Brat, który umarł na suchoty —

Z tych okien wiatr majowy przywiał
Wiosnę miłości w czule noce...
I klom sąsiedniego grzywa
Już nigdy im nie zatrępoce...
I dach — dopiero pustką teraz
Bez dachu im objawił smutek...
I patrząc, jak im dom umiera,
Oczy lez jadem mają strute...

Krzyczą strażacy! Ktoś znów płacze...
Gdzie iść?... Policjant tłum oddala...
Jeszcze gdzieś tam płomień skąpe
I nowa ściana się zawala... cze

Krzyczą strażacy! Gluchy zamęt —
Znów ściana pada... Rannych lament
I nie chcą odejść — rzeczy strzegą...
Pytają się: Gdzie teraz ruszyć?
Zgliszczami sypie się na śniegu
Murami domu — pół ich duszy...

A dzieci? Odnalazły sznurek
I skacząc oto znów się śmieją —
Ogień, co trysnął ponad murem
Zabarwił nową je nadzieją...
Bo cóż, że znów pękają mury,
Kiedy tak samo wiatr powiewa,
Na niebie takie same chmury
Nadzieję głoszą ranne drzewa,
Koroną na pół spopielatą —
Jakby się w nocy nic nie stało!

Znów mur się wali. Wkoło płaczą —
A dzieci uśmiechnięte skaczą...

Ja jestem z dziećmi!

DZIEŁA SZTUKI DLA PRENUMERATORÓW »ZDROJU«

Dwutygodnik „Zdrój”, realizując swe hasło upowszechnienia kultury i sztuki, pragnie umożliwić swym prenumeratom posiadanie wartościowych dzieł sztuki plastycznej. W tym celu „Zdrój” zakupił na Wystawie Plastyków w Lublinie 5 obrazów olejnych i pewną ilość drzeworytów do rozlosowania między tych Czytelników, którzy w terminie do dnia 1 kwietnia r. b. wpłacą prenumeratę za II-gi kwartał 1946 r. w sumie zł 39.— na adres: Administracja „Zdroju”, Lublin, ul. Peowiaków 5 m. 13.

WACŁAW GRALEWSKI

„REFLEKTOR”

Konstelacja, która wyloniła się z mgławic literackich Lublina, o czym wspomina w swoim „Snobizmie i postępie” Stefan Żeromski, a która nazwana została „Reflektor”, miała swą progeniturę nie tylko w grupkach młodzieżowych, dających znać o sobie od czasu do czasu, ale i w szerszej tradycji wyrosłej w nadbystrzyckim tyśiącletnim grodzie.

Był czas, nie tak zresztą odległy, gdy Lublin nazywany był miastem skrzyżków i poetów.

Droga od pierwocin poetyckich do okresu, w którym np. Jan Nepomucen Miller w swojej głośnej książce „Zaraza w Grenadzie” wymienia „Reflektor” w liczbie czołowych grup awangardowych w Polsce, przeszła inaczej niż to miało miejsce w innych ugrupowaniach literackich. Ludzie tworzący w grupie Młodej Polski, awangardowej powojennej krakowskiej „Katarynki” czy warszawskiego „Skamandra” zetknęli się ze sobą przygodnie w pewnym środowisku i w pewnym okresie życia, a skonfrontowawszy swój dorobek literacki, organizowały wspólne wystąpienia, akcentujące ich pokrewieństwo twórcze i pragnienie wspólnego wypowiedzenia myśli twórczych.

Grupa „Reflektor” wyrosła całkowicie na gruncie jednego miasta i od wczesnej młodości związana była ze sobą węzłami przyjaźni. Pod tym względem „Reflektor” stanowi ewenement.

Skład grupy był następujący: teoretyk Czesław Bobrowski, obecny dyrektor Biura Planowań, i czterej poeci: Konrad Bielski, Józef Czechowicz, Stanisław Grędziński i Wacław Gralewski. Ścisła przyjaźń cementowana wspólnymi zainteresowaniami połączyła już na ławie szkolnej Bielskiego, Bobrowskiego i Gralewskiego. Trójka, pracując czynnie w organizacjach młodzieży, wysuwała się często na kierownicze miejsca. Prace jej umieszczane były w pismach młodzieżowych, jak „Młódzież” i in. Wcześniej zaznaczył się jej kontakt z rodzeństwem Czechowiczów, składającym się z dwóch braci: starszego Stanisława i młodszego Józefa oraz ich siostry Kazimiery.

Stanisław Grędziński, utalentowany i wielce oryginalny poeta, służył w okresie wielkiej wojny w Legionach, a następnie bezpośrednio po niej przebywał na studiach w Krakowie, wiążąc się z ówczesną poetyką i malarską awangardą. Po powrocie do Lublina, w którym się urodził i w którym mieszkała jego rodzina, przymknął do szeregów literackich lubelskich i wspólnie z nimi pracował lat szereg. Był to zresztą najbujniejszy okres jego poetyckiej twórczości. Zanim zrodziła się i w szatę konkretnego czynu obleczona została myśl tworzenia grupy o zadeklarowanym programie poetyckim, zjawilo się na przestrzeni od 1921 do 1925 roku kilka wydawnictw, będących wyrazem silnie kielkujących nastrojów twórczych. Z wydawnictw tych w pierwszym rzędzie wymienić należy „Lucifera”, a to ze względu na okoliczności i atmosferę awantur, które towarzyszyły ukazaniu się tego pisma. Mimo że „Lucifer” był pismem wybitnie młodzieżowych wypowiedzi, mimo że li tylko literackie cele miał na względzie, podzielał on na miejscową kółtunerię jak przysłowiowa płachta na byka. Tytuł pisma, który przez autorów był w przenośni poetyckiej jako „światło czyniący” rozumiany, przyjęto jako satanistyczny, a niektóre utwory „pour épater les bourgeois” pisane napiętnowano jak credo „żarliwców Szatana”. Awantura przybrała niecodzienne rozmiary. Poetom wytoczono proces karny z artykułu przewidującego od 2 do 4 lat więzienia, a pismo skonfiskowano. Na skutek interpelacji w Sejmie oraz wszczętej dyskusji w prasie, sprawa znalazła rozgłos ogólnopolski, a nawet przeniknęła do wydawnictw zagranicznych: we Francji omówiono ją na łamach „La vie de lettre”, a w Ameryce na łamach „New York Times”. Kilkanaście osób, które zamieściły swe utwory w „Luciferze”, nie stworzyło jakiegokolwiek zwartej grupy. Po dwóch numerach pismo uległo zawieszeniu.

W tym czasie przyszli reflektorzyści nawiązują kontakt z Kazimierzem Andrzej-

JÓZEF CZECHOWICZ

WE CZTERECH

*Rozwija się dróg gwiazdnych rulon
ziemię się toczy za zwierzem
jak przetrwać noce cwałujące do bólu
dni fabrykę huczącą jak przeżyć*

*Na beton mlecznych szlaków się wzbic
jednym pływackim rzutem ramion
i już stopy biegnące po łące nieba
trawę gwiazd łamią*

*Jest nas czterech na sturcie
jest nas czterech na złotej linii komety
jest nas czterech (to ja jestem czwarty)
jest nas czterech celujących do mety*

Wprzód!

*Podrywają się grzbiety wygięte
głowy biegną rozkrzyczane przed ciałem
bieg smaga nagich jak prętem
gdzie radość gdzie żalność*

*W locie
zdeptały wszechświat stopy nasze
w wichurze migających czerni i rozzłocen
W kurzawie
runęły groby i ołtarze*

Tak ogromny jest lot ku sławie

*Jest nas czterech rzuconych jak globy
jest nas czterech
jest nas czterech pijanych sobą
jest nas czterech*

*W wonnych snujących się dymach biegnie Konrad
gronami wina potrząsa tyrs wyciąga przed siebie
niesie go mądrość ostatnia radość stara i mądra
winem przez wino na winie po niebie*

*A tam jak strzała z luku bursztynowych chmur brzegiem
przelatuje bez zmęczenia poeta Wacław
on napewno w aksamitnym tygrysim biegu
piersi obłąkanych pędem nie roztrząska*

*I Stanisław tętniący stopami jak we śnie
finisz biorąc z wysiłkiem nadmiernym zbyt ciężko
nie zawoła do siostry śmierci weź mnie
chyże nogi umkną przed śmiercią.*

*Winograd spokój chyżość
do nich to meta nadbiega nieznana
obłoki pod stopami jak na sznur się naniża
piorun zwycięsko strzeli na tryumf jak granat.*

*Biegnę biegnę jak życie człowiecze
razem witam i razem już żegnam
lot jakbyś rzucił mieczem
ale nie wiem
matko nie wiem czy dobiegnę.*

WACŁAW GRALEWSKI

DNI UBIEGLE

*Tam gdzie się kończy ojczyzna jest front
Słowo opuchłe i twarde jak kamień —
Zdarzeń nieznanych obfity plon
Na pół brunatnych wyrasta plamie.*

*W brudnych okopach serc nie ma wcale
Myśli na codzien — żelazne porcje
Patrzą wciąż maski w krwawym upale
Na buchające ogniste torsje.*

*Słowo do słowa — rzadki różaniec
Paciorki zsuwa skostniała ręka
Opada głowa na lepkie ramie
Stygnie na czole czerwona prega.*

STANISŁAW GRĘDZIŃSKI

CHOINKA

*Pryśła w parku jak z procy
ceratowa karoca.
Pstre kucyki w płasach
w gwiazdki dzwonek kłus parska
uzdami potrząsa.*

*Zatoczyli w dół na zakręt.
Brzęczą szyby w lustrach.
Wystrugany stangret
huśta się na bruzdach
zajechali w bór.*

*W borze
wykroty,
ostępy,
deby
gmachów
posepnych
grają organy górą
ogromny chór.*

*Niżej w kadzidle żywic
leśny zielony kościół
Ktoś tu posiał gdzieś grzyby
butwiejącej cichości.*

*A pomiędzy sosnami,
kolumnami
z brązu
Matka Boska Borowa kroczy,
twarz ma czarną
czary czyni oczom.
Zniosło pojazd w zachwaszczony wawóz.*

*Papierowy struwa z kół pajacyk
niespokojnie w konwalijkach błędzi
ścieżki szuka — ścieżki do pałacu.
Omotato go babie lato w kądziel.*

*A za studnią — za dziewiątym gdzieś dębem
Matka Boska siwowłosa się smuci
Zakotłysał się pajacyk zasepił
w twarz Jej czarną popatrzył — chciał uciec.*

*Rankiem ujrzał pobożny gajowy
trup karety w aerokariach
Na gałazce kaktusa zawisł
malowany aniołek papierowy
i napis:*

Ave Maria

*Odcinek czwarty (każdy ma numer)
Gniazda mitralier szumią jak muszle
Śmierć się bez przerwy żuje jak gumę
Wypłuwą życia szerniale żużle.*

*Rząd nóg spoconych stanął jak wryty
Coś się urwało w rytmie jednukim.*

*Było ich razem dwustu zabitych
Włożonych w cztery drewniane paki.*

jem Jaworskim i Tadeuszem Bocheńskim. Zetknięcie to w konsekwencji doprowadza do wydania pisma pod tytułem „Reflektor” (autorem tytułu był Jaworski). Był to załączek przyszytej grupy. Manifest poetycki zamieszczony na łamach tego pisma był niezwykle bojowy i operował wykrzyknikami w rodzaju: „zjadaczy chleba bić w mordę, jeśli ich w aniołów przerobić nie można”. W numerze tym ozdobionym rysunkami późniejszego głośnego malarza, Jana Wydry, debiutował Józef Czechowicz utworem napisanym prozą p. t. „Opowieść o papierowej koronie”. Nie mając funduszy na regularne wydawanie pisma, zespół poetów zawiesił wydawnictwo, by je w rok później w 1925 roku podjąć pod tym

samym tytułem, ale o innej już, bardziej skryzalizowanej i świadomej swych poetyckich celów treści. Mimo wspólnoty tytułów oba te wydawnictwa z punktu widzenia wartości wypowiedzi poetyckich mało mają ze sobą wspólnego. „Reflektor” z 1924 roku to jeszcze jedna młodzieżowa mgławica — „Reflektor” z 1925 roku to wydawnictwo, które stało się osiągnięciem i jest pozycją w historii literatury polskiej. Na łamach kilku kolejnych numerów obok nazwisk stanowiących lubelską grupę ukazały się nazwiska i sławnego kompozytora polskiego Karola Szymanowskiego, i plejady znanych nazwisk poetów, jak Witold Wandurski, Anatol Sztern, Adam Ważyk, K. A. Jaworski i wielu innych.

Oprócz wydawania pisma grupa zorganizowała szereg wieczorów poetyckich, wydała kilka tomików poezji w tej liczbie pierwszy tom poezji Józefa Czechowicza p. t. „Kamień” oraz Stanisława Grędzińskiego „Parabole”. Ponadto opracowano dwie polityczne szopki, cieszące się ogromnym powodzeniem, lalki do których m. in. robił Władysław Daszewski. Na przyszłość do dalszych prac stanął brak funduszy. Poszczególne członkowie grupy opuścili Lublin. Ostatnia wojna zabrała życie Józefowi Czechowiczowi i Stanisławowi Grędzińskiemu. Choć stosunkowo krótko trwała działalność grupy, jednak dorobek jej miał poważny ciężar gatunkowy.

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

W Y R O K

(Dokończenie).

Kiedy Andrzej przekonał się, że tu już będzie na stałe, że go już dalej nie powłoka, napisał do domu list. Papieru z sobą co prawda nie wziął, a kupić Polakowi nie było wolno żadnego pisarskiego drobiazgu, nawet stalówki, jednak owe niedzielne spotkania z towarzyszaniami niedoli miały i tę dobrą stronę, że oprócz rad mogli sobie wyświadczać drobne usługi. Papier, koperkę i ołówek kupił od kolegów.

Kiedy już wszystko sobie zgromadził, usiadł przy stoliku w swoim mieszkaniu i pisał:

„Kochani rodzice! W pierwszych słowach mojego listu donoszę wam, że jestem zdrowy, a spodziewam się, że mój list i was przy zdrowiu zastanie. Jestem już trzy tygodnie u jednego gospodarza, sto dwadzieścia kilometrów od Berlina. Roboty tu jest dużo, bo jest tylko stary Niemiec, Niemka, gospodyni, ja i jedna dziewczyna z Jugosławii. Ziemi jest sześćdziesiąt morgów, są cztery konie, dziesięć krów, jałowizna i czternaście dużych świń, nie licząc prosiaków. Mieszkam sam przy oborze, dosyć tu czysto. Jeść to mi tu dobrze dają, jedzą tak jak my na Wielkanoc. Od przedwczoraj to nawet jem razem z gospodarzami, bo przedtem to jadłem z tą jugoslawianką w kuchni, ale oni o nas trochę dbają, bo im chodzi o robotnika.

Przykrzy mi się tylko bez was okropnie, i żebym wiedział, że mi się uda, tobym uciekał, bo tu uciekają, ale jednemu się uda, a drugiemu nie. Jak złapią, to biją, zamykają do więzień i przenoszą do takich folwarków, gdzie muszą robić karne roboty. Tam jest głód, złe traktowanie, i bicie za najmniejsze co. Niedaleko stąd dwóch uciekło i zabrali ze sobą kocy, żeby mieli się czym przykryć na spaniu. Złapali ich pod Kutnem i ukarali oddzielnie za ucieczkę, a oddzielnie za kradzież koców. Obaj umarli w więzieniu, bo nie dostawali jeść, a spać musieli w wodzie na cementcie. Jednego znowu podczas łapania zastrzelili niedaleko Kalisza. Ja nie będę uciekał, bo mi tu jest nieźle, a w domu znowu by mnie i tak mogli złapać, a u nas w domu ma kto robić. Albo mogliby mnie zabić, a ja chcę doczekać końca wojny i do nas wrócić. Przecież tak zawsze nie będzie i musi się dla nas dobrze skończyć.

Bić naszych ludzi to oni tu biją, bo mi koledzy opowiadali z innych miejsc, jak się w niedzielę spotkamy. Mnie mój gospodarz też uderzył, bo źle trzymałem koło, kiedy on smarował i smar upadł na ziemię. Byłbym go mógł zabić, jakbym mu oddał, bo stary i słabszy ode mnie, ale są okropne kary za to. Zresztą ja mu to zapamiętam do okazji...

Jak tu jestem, jak widzę i słyszę tyle rzeczy i jak tak nieraz sobie pomyśle, to dopiero dziś wiem, co to jest Ojczyzna i co to swój kraj i swój ludź. Do tego czasu to ja tam w domu nic nie wiedziałem, chociaż mówili o tym w szkole i pisali po gazetach i było po książkach. Po powrocie do domu to ja będę zupełnie innym człowiekiem, bo wiem, co to być u obcych, jak na nas tu patrzają, jak klną od polskich świń i polskich psów. Oni nami gardzą, tylko jest im potrzebna nasza praca. Na ubraniu na piersiach musimy nosić łatkę z literą P, żeby każdy wiedział, że to Polak. A jak się nie ma, a żandarm złapie, to trzeba płacić pięćdziesiąt albo czterdzieści marek kary.

Moja gospodyni to jest jeszcze młoda Niemka, ma dwadzieścia trzy lata. Mąż jej zginął w Rosji na froncie. Zdaje mi się, że ona za mną chodzi trochę, bo mnie przyniosła z jedzeniem do siebie i zawsze mi w pole przynosi różne smakołyki, a to mięsa z chlebem, a to placzka, a to ciastka. Ale ja mam ducha swojego i nie patrzę na nią, bo wiem, co za to grozi. Za platanie się Polaków z Niemkami wieszają zaraz bez niczego. Przede mną były już takie rzeczy, koledzy mi opowiadali.

Głodu to tu jak inni nie mam, ale jakbyście mi mogli przysłać koszul, stare ubranie i buty, to byłoby dobrze, bo mam tylko to, w czym mnie wtedy na rynku złapali.

List kończył się wyszukanyymi ukłonami dla znajomych i serdecznymi ucałowaniem dla członków rodziny oraz całym szere-

giem pytań o te drobiazgi z domu i z okolic domu, których wartość wzrasta wprost proporcjonalnie do odległości w terenie. Rozzerwana grobla od łąki, ścięta topola od sąsiada, cudze wesela i chrzciny, wyprowadzki i święta — oto były pierwszoplanowe zagadnienia, których losu chciał się Andrzej dowiedzieć w dalekim Süderode.

* * *

Słońce dopiero co wychyliło zza widnokręgu i pęk jaskrawych promieni rzuciło w oczy. Na trawie srebrzył się gęsty nalot rosy. W dole od rowu zawisł nad łąką szafirowy strzęp mgły. Zapóźniony derkacz tarł rytmicznie swoje hasło życia. Poranek czerwcowego dnia pachniał wilgotną łąką.

Andrzej rzucił kosę w trawę, szybko ściągnął koszule, pocesał włosy palcami i stanął do koszenia. Miał odciąć brzegi łąki z trawy, bo po dwu godzinach przyjedzie stary Otto z kosiarką i będą cieli maszyną. Pewnie, że zrobi to, ale nie ma się co śpieszyć. Dobrze, że choć się jako tako naje, ale pieniędzy to przecież za tę robotę nic nie ma. Co to znaczy tych kilka marek na tydzień?

Ranny chłodek podrażnił mu skórę, więc zwrócił plecy ku słońcu, zawinął nogawki, podniósł kosę, przetał ją oselką i zaczął kosić. Trawa była ładna — wysoka i gęsta, odwalła się w lewo wysoką wał pokosu jaśniejąc bielszym spodem uszkodzonej trawy.

Około piętej zrobiło się już gorąco, więc Andrzej zrzucił spodnie i został w samych spodenkach kąpielowych. Tak mu było lżej i chłodniej, tak zawsze robił w domu.

Przyjechał Otto. Sprawili maszynę, wjechali w trawę, podcięte konie ruszyły, zarzęgotały tryby z kosą i ze stołu kosiarki sypał się równy wał zielonej trawy. Niemiec postął, popatrzył z boku i już miał odejść, kiedy na zakręcie coś trzasło metalicznie. Andrzej wstrzymał konie.

Stary wpadł w złość. Doskoczył z krzykiem do Andrzeja i coś nad nim wydziwiał. Był cały uśniony z wściekłości, pochylał się raz i drugi, jakby go chciał uderzyć, ale się w ostatnim momencie wstrzymywał. Okazało się, że pękł nit przytrzymujący z boku kosę. Szkoda to nie była wielka, ale robota została przerwana.

Andrzej nie przejął się zbyt ani ze psuciem kosiarki, ani kłótniami starego Otto. Siedział na kozle wysoko i patrzył na podskakującego Niemca — patrzył na niego ze spokojem, jaki daje poczucie własnej przewagi fizycznej.

Stary uznał, że szkodę można naprawić na miejscu, więc wysłał na migi Andrzeja do domu po nit, młotek i kowadełko. Ale on się uparł: o, nie ma głupich! — na wszelkie perswazje starego wrzeszał bezradnie ramionami: nie wiedział, o co chodzi. Więc gospodarz uznając swojego parobka za beznadziejnego dumnia, który nie może zrozumieć tak prostego języka jak język niemiecki, chcąc nie chcąc powłócił się ku domowi, polecił mu tylko wziąć za kosę i uważać na konie.

Słońce już było wysoko. Upał wzrastał w powietrzu. Konie ucieszone z przerwy jadły trawę. Andrzej rzucił się na znak na chwilę i patrzył do góry. Na gładkiej jak szkło powierzchni firmamentu nie było ani jednej chmurki. Oczy gubiły się w szafirowej głębi jak w olbrzymiej rozjarzonej studni. Opuścił go nastrój chwilowej czułości. Powoli zalewało go uczucie gorzkości. Tak był niczem. Taki był słaby. Oto ten stary szwab mu napyskował i nie można go było nawet porządnie skłąć. Im więcej myślał o sobie, tym bardziej czuł się pożałowania godny. Był zagubiony w dalekim i obcym świecie, gdzie zewsząd czyhała wrogość — ludzi i rzeczy.

Myślał sobie tak smutno i podnosił głowę. Widok powracającego starego poderwał go na nogi i rozproszył opanowujący go nastrój. Zaczął kosić. Reperacja zabrała godzinę czasu i wreszcie znowu rozległ się halaśliwy skrzekot maszyny nad łąką. Po chwili Andrzej został sam. Konieczność skierowania uwagi na konie i kosiarkę wyłączała wszelkie uboczne przeżycia. Jeździł wokół łąki mechanicznie, równo i tyle tylko ożywał, ile trzeba było dla podcięcia koni na zakręcie.

Śniadanie przyniosła mu Martha. Miała na sobie jasną powiewną sukienkę i kapturek od słońca. Uśmiechała się wabiąco, cała przymilna i rozmowna. Coś żartowała, o czymś go przekonywała, a kiedy usiadł na zwoju trawy, klepała go poufale po plecach. Nie rozumiał jej słów, choć zdawał sobie sprawę z jej zalotów.

— No, no. Idź do diabła...

Jego szorstki ton działał na nią drażniąco. Im bardziej trzymał się sztywno i opornie, tym bardziej nacisk jej wzrastał.

Oparła się na lewym łokciu i patrzyła, jak jadł. Był młody, rozroźniony, ładny i zdrowy. Szczęki mu chodziły równo, mocno. Uczuła, że ją ogarnia łaknące drżenie, zaczyna po prostu gorzeć.

— Andreas, du bist wunderschöne Kna-be!... Widzisz, widzisz, co się ze mną dzieje? Nie widzisz?

Nie, nie widział. Albo widział. Spokojnie wstał z siana, obciągnął zęby i dźwiał z jedzenia wargami. Cmokął smakowicie. Nie patrzył na nią wcale.

— Andreas — rzekła leniwie.

Oddalał się ku maszynie wysoki, smukły, opalony. Prawie nagi.

— Andreas...

Głos jej przeszedł w jęk. Andrzej udał, że nie słyszy.

Wieczorem oprzątnął swój inwentarz, umył się, zjadł kolację i poszedł spać. Rozgrzana czerwcowym słońcem skóra zachowała nadmierną wrażliwość. Koc go parzył. Było duszno. Chwilę rozkoszował się poczuciem swobody i odprężeniem. Po kilku minutach senność go poczęła obejmować — bliska, zniewalająca. Usnął.

Zdawało mu się przez sen, że go ktoś woła i stuka w drzwi. Ocuł się powoli i słuchał. No tak. Ktoś poruszał zamkiem jego drzwi i wołał przyciszonym głosem:

— Andreas, Andreas, auf!

Kiedy odleciały resztki snu ze świadomości, poznał Marthę.

— Andreas, Andreas, auf!

Leżał spokojnie i słuchał. Zaniepokojo-ny, zdziwiony i nie wiedzący co czynić. Poczł, że serce mu bije. Uległ odruchowi i nie odzywał się wcale.

— Andreas...

Wolanie powtarzało się raz po raz coraz uatrętniejsze i głośniejsze. Pies zaczął szczekać. Wówczas przeraził się nie na żarty i z myślą, że mogło się co stać i jest potrzebny, wstał i otworzył.

Jak tylko przekręcił klucz w zamku i uchyliło się skrzydło drzwi, spadł na niego istny huragan gorąca. Poczł w jednej chwili na szyi palącą obręcz i palący ciężar na piersi. Omal się nie przewrócił i szukał w mroku rozpaczliwie ręką oparcia, jak topielec, który straci ziemię pod nogami. Szarpnął się raz, drugi. Napróżno — omotała go całego z siłą szaleńca. Dopiero za trzecim razem wyrwał się z jej objęć i chcąc się od niej uwolnić, rozpoczął ucieczkę po własnym pokoju wokół stołu.

Kiedy w pewnej chwili zmierzal do drzwi, aby uciec i w ten sposób pozbyć się natrętnej gościny, zagroziła mu drogę od przodu. Wówczas zdecydował się na ostateczne pociągnięcie. Sparował opór jej ramion, schwycił za kark i wypchał za drzwi. Po czym szybko je zamknął i klucz przekreślił, jakby się chciał ubezpieczyć przed ponownym własniciem.

Padła na ubitą ziemię podwórka sponiewierana, poniżona, łaknąca i wściekła.

Kiedy na drugi dzień około godziny dziesiątej przed południem przyjechał z listami pan Strabe, przyjęła go Martha lampką wina domowej roboty i była dla niego bardzo łaskawa. Łaskawość swoją posunęła do tego stopnia, że pan Strabe mógł się uważać za najszcześliwszego z ludzi. Tego dnia i wielu następnych. Sądził, że zawdzięczał to urokowi własnego munduru, który nosił z dumą, albowiem czuł się częścią wielkiej zwycięskiej armii niemieckiej.

* * *

Dnia piętnastego września 1942 roku zgłosiła się na posterunku żandarmerii dwudziestotrzyletnia Martha Seidler zamieszkała w Süderode i zameldowała, że jest w ciąży i jako winowajcę wskazała na dwudziestoletniego robotnika rolnego, Polaka, Andreasa Walczaka, pochodzącego z General-Gouvernement.

Dla komendanta posterunku żandarmerii nie była to rzecz nowa — miał już takie wypadki. Jedynie co tu było charakterystyczne, to że delikwentka zgłosiła się sa-

ma, podczas gdy w innych sprawach tok nadawał donos z boku najczęściej. Przejęło go coś w rodzaju szacunku dla tej kobiety niemieckiej, która mimo chwilowego błędu i upadku zdobyła się na akt lojalnego przyznania do kolizji z prawem.

Zdarzenia od tego momentu zaczęły się szybko i konsekwentnie rozwijać. Marthę Seidler aresztowano z miejsca, w godzinę potem ten sam los spotkał Andrzeja: żandarmeria zabrała go z pola od pracy. Po dwóch godzinach lekarz powiatowy dokonawszy oględzin stwierdził u pacjentki trzymiesięczną ciążę. Andrzej w pierwszym dochodzeniu nie przyznał się do winy. Twierdził, że nic o tym nie wie. Potem jednak kilkakrotna ściślejsza rozmowa z żandarmami, gdzie wchodziła w grę wytrzymałość jego ciała, dała ten wynik, że delikwent stanął na stanowisku rzeczowym i nie utrudniał zadania stróżom bezpieczeństwa publicznego.

Operując materiałem niezbitych dowodów, oskarżyciel publiczny, którym był komendant żandarmerii, zgotował akt oskarżenia przeciwko przestępcy już w dwadzieścia cztery godziny.

W tym terminie zebrał się też na sesję sąd specjalny, a żandarmeria zamówiła w drukarni telefonicznie stosowne ogłoszenie. Sprawa była jasna — za tego rodzaju przestępstwo była tylko jedna kara. Inaczej być nie mogło i nie było. Prawo było zrozumiałe.

Na drugi dzień sąd specjalny rozpoczął urzędowanie. Wprowadzono na salę Marthę Seidler i Andrzeja Walczaka. Kiedy sędziowie spojrzeli na nich oboje, — tak, nic dla nich nie było tajnego. Rozwój wypadków między tymi dwójką zdawał się sam wynikać z siebie. Postać Walczaka wyglądała na cokolwiek sfatygowaną, ale była to rzecz nieunikniona, zważywszy na ostatnie przejścia. Martha Seidler była stosunkowo spokojna. Andrzej Walczak raczej zdenerwowany. Jednak i spoza tego wyglądała jego wielka męska uroda — stłodycz młodości ożeniona z siłą prawdziwego mężczyzny.

Przewodniczący zebrał z całą skrupulatnością personalia oskarżonych, odczytał oskarżenia i zapytał się:

— Czy oskarżona Martha Seidler przyznaje się do winy?

— Tak.

Z kolei sędzia zwrócił się do Andrzeja:

— Czy oskarżony Andreas Walczak przyznaje się do winy?

— Nie.

To oświadczenie zmieszało cokolwiek ułożony bieg spraw, ale przewodniczący zbyt biegłym był jurystą, ażeby dać się wprowadzić w kłopot przez pierwszego lepszego robotnika. Dla niego zaprzeczenie głównego oskarżonego było jasne — inaczej nie mógł powiedzieć. Zwrócił się przeto do Marthy Seidler:

— Czy oskarżona za to, co się stało, czyni odpowiedzialnym oskarżonego Andrzeja Walczaka?

— Tak.

Przewodniczący sędzia urzędował dalej:

— Jakie jest stanowisko oskarżyciela?

— Popieram oskarżenie — odpowiedział prokurator.

Sekretarz sądu pisał, szybko i uważnie. Sąd naradzał się szeptem i dyktował do protokołu. W pół godziny później ogłoszono wyrok.

* * *

Dnia siedemnastego września 1942 roku żandarmeria zgromadziła z okolicy wszystkich robotników rolnych, Polaków. Musieli się zgłosić na godzinę szóstą rano. Stanęli szerokim kółem, niedaleko budynków żandarmerii, gdzie w środku widniała świeża w nocy wzniesiona szubienica. O godzinie siódmej minut piętnaście wyprowadzono z aresztu Andrzeja Walczaka i niezwłocznie na oczach wszystkich powieszono.

Jednocześnie po okolicznych wsiach i w mieście powiatowym rozlepieno z góry wydrukowane afisze, które brzmiały:

„Jako zadośćuczynienie za ohydne splugawienie krwi niemieckiej przez poufale współzycie Polaka z niemiecką kobietą niemiecką sąd specjalny wyrokiem z dnia szesnastego września 1942 roku skazał na karę śmierci przez powieszenie Andreasa Walczaka lat 20, urodzonego we wsi Radzinowice, pow. Puławy, General-Gouvernement. Wyrok wykonano dnia siedemnastego września 1942 o godzinie siódmej minut piętnaście“.

ALEKSANDER WIELHORSKI

ZE WSPOMNIEŃ O KAROLU SZYMANOWSKIM

(W 9-tą rocznicę zgonu).

Polski świat muzyczny obchodzi w dniu 29 marca r. b. dziewiątą rocznicę zgonu wielkiego kompozytora Karola Szymanowskiego. Zmarł jak nasz Szopen — na gruźlicę, w Sanatorium w Lozannie i również z dala od kraju. Urodził się w 1882 roku na Ukrainie. Cała rodzina Szymanowskich była wybitnie utalentowana. Starszy brat Karola — Feliks był świetnym pianistą, siostra Stanisława — znakomitą śpiewaczką, młodsza Zofia jest utalentowaną literatką. Atmosfera we dworze w Tymoszwocze była nad wyraz artystyczna i wysoce kulturalna. W tych warunkach talent twórczy Karola rozwijał się szybko i rozciągał szerokie kręgi wpływu na bliższe i dalsze otoczenie. Tak było w ciągu całego jego życia!

Nie daję tu ani szkicu biograficznego o Szymanowskim, ani syntezy jego bogatej twórczości*), jeno kilka luźnych fragmentów z chwil wspólnie z nim spędzonych.

Poznaliśmy się u jego kuzynki, utalentowanej pianistki p. Heleny Przyszychowskiej-Głębockiej jesienią roku 1915, w Kijowie. Opracowywałem wówczas z p. Heleną swoje „Wariacje” na 2 fortepiany, które graliśmy na koncercie w sali Klubu Kupieckiego na rzecz Polskiego Tow. Pomocy Ofiarom Wojny. Karol interesował się moją twórczością i asystował na próbach. Wówczas znałem tylko jego utwory fortepianowe w wykonaniu Henryka Neuhausza, znakomitego pianisty, kuzyna Karola, który właśnie bawił w Kijowie i mieszkał przejazdem u mnie. W 1916 roku Teatr Polski (w Kijowie) urządził „Wieczór pieśni polskiej XX wieku”, na którym Karol, p. Gnusowa i ja akompaniowaliśmy swoje pieśni, wykonane przez Tadeusza Leliwę, Stefanię Lubicz-Kasperską i innych śpiewaków. Ten wspólny koncert był początkiem naszej przyjaźni, którą tak bardzo ceniłem.

Następnie spotkaliśmy się już w Niepodległej Polsce, w Warszawie, gdzie Karol zamieszkał u swego serdecznego przyjaciela, a mego krewnego — Augusta Iwańskiego. Jemu dedykował swą wspaniałą „Tarantellę” skrzypcową. Kiedyś we trójkę odbyliśmy niezapomnianą wycieczkę do Puław i Kazimierza nad Wisłą, którą opisał Iwański na łamach „Muzyki Polskiej”. Nowocześni w skromnych chatkach u moich znajomych i ten prymityw bytowania bardzo się Karolowi podobał. Kwitły wówczas ogrody śliwkowe — krajobraz wiejski był pełen uroku!

Bywaliśmy u siebie w Warszawie i spotykaliśmy się u p. Stanisławy, siostry Karola. Gdy w 1926 roku wyruszałem z p. Stanisławą na Łotwę i Estonię, na koncerty muzyki polskiej — Karol pomagał nam układać programy. Z moich pieśni wybrał „Lato”, „Możeś Ty tylko”, „Piosnkę śmierci” i „Echa wschodnie”.

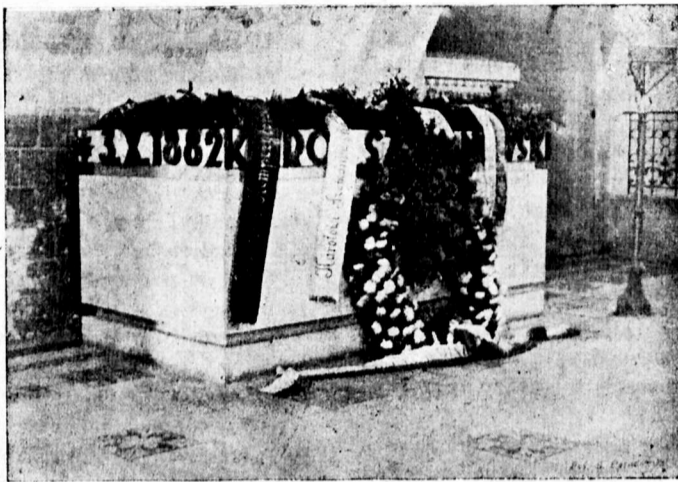
Pamiętam pewien recital w Warszawie, w sali Pompejańskiej, na którym grałem tylko utwory polskie: Paderewskiego (Wariacje), Szymanowskiego (Etiudy) i Różyckiego (Tańce polskie). Mimo, że tegoż dnia z rana Karol powrócił z zagranicy — przyszedł na mój koncert i serdecznie dziękował za interpretację jego Etiud. Wkrótce potem dał mi manuskrypt swego nowego „Oberka”, którego grałem na koncertach jeszcze przed jego wydaniem w Anglii.

Karol interesował się bardzo twórczością naszej młodzieży muzycznej, odwiedzała go często i mimo braku czasu — nie skąpił młodym kompozytorom swych cennych rad i wskazówek.

Chodziłem z Karolem na końcowe próby jego opery „Król Roger”, wystawianej w Warszawie pod dyktando Emila Młynarskiego.

go w 1926 roku. Przekonałem się wówczas, ile silnych emocji przeżywał ten wielki kompozytor! Partię królowej Roksany — śpiewała siostra Karola — p. Stanisława. Wkładała całą duszę w tę trudną pod każdym względem rolę, aby dać ukochanemu bratu maksimum zadowolenia.

Nie zapomnę nigdy pierwszego wykonania jego 4-ej Symfonii w Filharmonii War-



SARKOFAG KAROLA SZYMANOWSKIEGO NA SKALCE

szawskiej, w której Karol sam wykonał partię fortepianową. Słyszałem potem tę partię w świetnym wykonaniu Józefa Turczyńskiego i Zbigniewa Drzewieckiego, ale koncepcja samego kompozytora największe robiła wrażenie. Karol często grał tę Symfonię za granicą pod dyr. Grzegorza Fitelberga.

Stopniowo zdrowie Karola zaczęło się pogarszać, co zmusiło go do zamieszkania w Zakopanem. Intensywna praca kompo-

zytorska, wyjazdy za granicę, rektorstwo Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, intrygi w świecie muzycznym Warszawy — wszystko to wyczerpywało jego chory organizm. Nawet w Zakopanem, w swej zacisznej willi — „Atmie” na Kasprusiach — znajomi i przyjaciele nie dawali mu należytego spokoju ciągłymi odwiedzinami. Pragnąc izolacji od ludzi, przyjechał kiedyś furką góralską do mojej skromnej „Anulki”, poło-

żonej obok Zakopanego i z balkonu zachwycał się wspaniałą panoramą szczytów od Hawiania aż do Giewontu. Te nasze rozmowy w obliczu Tatr pozostaną na zawsze w pamięci. Pod wpływem Podhala — stworzył balet „Harnasie”, 2-gi koncert skrzypcowy oraz niektóre Mazurki.

W jednym z listów (ocalałych) pisze do mnie, do Warszawy (Zakopane 20.I.1931 r.): „Olu drogi! Dziękuję Ci za miły list z życzeniami. Ostatecznie zdecydowałem się

nie przyjeżdżać teraz do Warszawy — a dopiero po kilku tygodniach. Te ciągłe wyjazdy bardzo mnie męczą i nie pozwalają przyjść do równowagi. Ja właściwie za nadto ryzykuję z moim zdrowiem; na dobry ład to powinienem ten rok jeszcze poprostu poleczyć się trochę, a w każdym razie b. spokojnie dłuższy czas spędzić w Zakopanem, a naprawdę, ani razu tu dłużej nie byłem jak 3 tygodnie i wszystko co tu zyskam — tracę znów w Warszawie. Poza tym cieszę się, że nie będę brał udziału w Jury nagrody Państwowej (to było głównym celem obecnego mego przyjazdu). Tak mi te wszystkie sprawy, kłótnie, targi — oczerniały, że niech Bóg broń... Ja żyję dziś samotnie i bez silniejszych wrażeń. A co słycać w naszej budzie? Kończę i ściskam serdecznie. — Twój Karol”.

Swą wybitną inteligencją, prostotą, skromnością i taktem Szymanowski ujmował sobie wszystkich — młodszych i starszych, „wielkich” i „maluczkich”.

Jesienią 1936 r. przed swoim ostatnim wyjazdem z Warszawy do Paryża i na kurację — był Szymanowski parokrotnie u mnie (na Moniuszki 8), a jeden wieczór spędziliśmy w Teatrze Narodowym, zachwycając się grą Juliusza Osterwy. Rozmawiał już z pewnym wysiłkiem i głos miał nieco przytłumiony.

W chłodny i drzysty poranek odprowadzałem Szymanowskiego wraz z Guciem Iwańskim na express paryski. Karol był jakiś zamyślony i smutny. Nie sądziłem wtedy, że to będzie nasze ostatnie pożegnanie! Wrócił do Polski w pamiętnym kwietniu 1937 r., ale w trumnie, która spoczęła w grobach zasłużonych, obok Wyspiańskiego, na Skalce.

EUGENIUSZ SZERMENTOWSKI

Moja znajomość z Ilfem i Petrowym

Ich obu — Piladesa i Orestesa, Kastora i Polluksa, Lelum - Polelum, Roberta i Bertranda, czy jak tam chcecie — ich obu, nieodłączną parę, piszącą razem, do spółki, pod jedną firmą, poznałem na przyjęciu w ambasadzie rosyjskiej, na przyjęciu wydanym właśnie na ich cześć.

Zaproszono literatów, dziennikarzy, aktorów. Byli także dyplomaci i politycy. Więc najpierw aktor Konrad Tom, który miał doskonały akcent rosyjski, odczytał przy akompaniamencie wybuchów śmiechu kilka zabawniejszych fragmentów z nowej książki Ilfa i Petrowa „Złotej Tielonok” (Złote ciele). Porykiwaliśmy sobie zgodnie i ochoczo, bo książka, powieść-groteska, skrzy się dowcipem błyskotliwym i paradoksalnym, rozbija humorem, raduje niezmiernie zabawnymi sytuacjami.

Autorzy skromnie zaszyli się w kącie i hamowali wesołość; nie wypadało śmiać się z własnych elukubracji. Obaj chłopaki młode. Wtedy w r. 1934 liczyli sobie po trzydziestce. Zatrzymali się w Warszawie, w drodze do Stanów Zjednoczonych, skąd mieli przywieźć świetną książkę o Ameryce.

Przy bufecie, zastawionym obficie, zaopatrzoną w rosyjskie rarytasy, języki nam się rozwiązały. Poszła precz sztywność dystygowanych przyjęć dyplomatycznych.

— Jak piszecie we dwójkę?
— Zwyczajnie. Tak jak bracia Goncourt. Jules biega po redakcjach, a Edmond siedzi w domu i pilnuje rękopisów, żeby ich przyjaciele nie ukradli.

Potem trąbiliśmy bruderszafta. Ilf i Petrow gorąco zapraszali, żeby ich po powrocie odwiedzić w Moskwie, na gwałt notowałem sobie ich adres. Wreszcie chórem śpiewaliśmy czastuszki.

Potem były toasty i wiwaty. Na cześć gości — pisarzy radzieckich, na cześć literatów polskich, zdrowie gospodarzy i t. d.

Szeroko otwieraliśmy usta z respektu i z zawiści na wiadomość, jakie to potworne są nakłady książek rosyjskich, jakie to skarby neapolitańskie, jakie to midasowe kupy złota zgarniają co popularniejsi „pissatieli”, jak to żyją sobie po pańsku, jak to ani ptasiego mleka im nie brak i jak to lekko im na ten kieliszek chleba zarobić.

Chodzi tylko o to, żeby się temu złotu nie dać opanować, nie wpaść pod jarzmo mamony, nie dać się wykołocić, jak to się na ten przykład zdarzyło temu pocziwemu olbrzymowi, temu poecie z bożej czy też czarciej łaski, Demjanowi Biednyemu (Eutymsiusz Pridworow).

A cóż znów takiego przytrafiło się temu biednemu Biednyjowi?

A no, zwyczajnie, przewróciło mu się w głowie, opętało go złoto, „rozłożył się” na obie łopatki i na oba boki. Kropił sobie co dzionek króciutkie impromptu w „Prawdzie”, zdobył popularność niestychaną i rubelianie płynęły mu do przepastnych kieszeni struga, lawina, kaskadą, wodospadem. Więc Biednyj mieszka na Kremlu, otacza się czeredą fagasów, rozjeżdża własną salonką, spija szampiter, żyje jak Bachus, Dionizos, Nabuchodonozor. Jak Diomades o głosie donośnym dowodził młodzieżą argejską, tak Demian Biednyj pamfletami swymi budził do czynu komsomol moskiewski. Aż się doigrał, że pamflety stały się coraz słabsze, talencik prysnął jak bańka, popularność wódka i diabli wzięli. Na kilka lat zniknął Biednyj z horyzontu i z łamów „Prawdy”.

Aż dopiero kiedy się opamiętał, okiełznał i oprzytomniał, przypomniał sobie w krwawej i bohaterskiej dni Wojny Ojczyźnianej 1941—1945. Powrócił Demian do łask demosa, wyładował znów szczęśliwie na łamach „Prawdy” i znowu krzepił ducha u swoich, a jak „Mebeager” grzmiał i ryczał na wroga. Umarł in odore... dignitatis tuż

po triumfalnym wkroczeniu swoich do Berlina.

Człowiek jest słaby i łatwo pokusom uległy...

„Złote ciele” to właśnie powieść o takim nicponiu, co marzy tylko o zdobyciu miliona, myśląc, że ten milion da mu szczęście. Ten milion, Ostap Bender (tak się nazywa bohater „Dwunastu Krzesel” i „Złotego cielca”) zdobywa w okolicznościach, które najbardziej ponurych śledzienników i wątrobiarzy do łez mogą rozśmieszyć. Cóż z tego! W Z. S. R. R., tym kraju typowych „pięcioletek”, pracy konstruktywnej, rekordów „stachanowców” pieniądza szczęścia nie daje. Więc Ostap Bender, obrażony na ustrój, w którym zachcianki milionera nie mogą być urzeczywistnione, skupuje złoto, brylanty, dewizy, złote zęby i zegarki, ordery (między którymi nawet jest jeden order „Złotego Runa”), opuszcza kraj i emigruje. Ale pechowca chwytą w przeprawie przez Dniestr przekłętą siguranzą rumuńska i obrabowuje do nitki. Bender wraca do kraju, żeby poświęcić się uczciwej pracy.

Obie powieści wyszły w przekładzie polskim w „Bibliotece Groszowej”.

Napisałem o nich, pamiętam, entuzjastyczną recenzję, za którą dwaj moi nowi przyjaciele serdecznie mi listownie dziękowali.

Co dotyczy Eugeniusza Petrowa i Ilfa, nie widziałem ich więcej.

Po wojnie dowiedziałem się z przykrością, że Ilf zmarł na chorobę płuc, a Petrow poległ bohaterską śmiercią u szczyłu wojny, w walce z barbarzyńską hordą niemiecką. Szkoda ich! Były to talenty wspaniałe, krzeszące humor w tych ciężkich czasach, w jakich nam żyć przyszło.

Nie ulega wątpliwości, że obie tak popularne (i przez film spopularyzowane) powieści doczekają się jeszcze u nas ponownego wydania.

*) Co czytelnik znajdzie w pracach prof. dr. Jachimieckiego, dr. Łobaczewskiej i in.

HENRYK SYSKA

Jan Rak — pańszczyźniany poeta

„Parobek pańszczyźniany, wyrobnik wiejski chwytający się różnych zajęć: koszykarstwa, kapelusznictwa, tkactwa, rzeźbienia świątków, malowania obrazów religijnych; rolnik na karłowatym gospodarstwie, pisarz gminny, oglądacz zwłok, oglądacz bydła, szczerzy bibliofil, urodzony wiejski filozof i poeta”.

Zbędne są chyba komentarze do tak wszechstronnej i dosadnej charakterystyki, w której została zamknięta szlachetna, twórcza, a tak mało spopularyzowana postać husowskiego barda przez krakowskiego etnografa Tadeusza Seweryna.

Jan Rak, patriarcha samorodnych poetów ludowych, znał niedolę pańszczyźnianą nie tylko z opowiadania, ale i sam zażywał jej gorzkiego smaku. Tym cieniem koszmarnym, które zawisały nad życiem chłopca przez tyle bezdennych czeluści wiekowych, poświęca autor ku dłuższej pamięci kilka urywków wierszowych p. t. „Wspomnienie pańszczyźniany”.

„Było to w samo południe, dzień skwarny we żniwa, żał każdemu od sił stało... A tu wołają: dożnają! Bo się was podgoni!!! Nastąpiła egzekucja... Oj, bił-że bił bestyja... Chociaż byłem mały, włosy mi dęba stały i nogi od strachu drżały... Uciekać nie było sposobu. O czasie okropny. Czasie wiele srogi! i t. d.”

Przyszedł na świat w 1820 roku, urodzony w chacie kurnej, jaka wówczas stanowiła najbardziej pospolite schronisko dla rodzin włościańskich. Brud, nędza, poniewierka, a stąd wynikły cykl dalszych niepożądanych konsekwencji — oto nieodstępni towarzysze, którzy jak gdyby zrosili się i pokumali z życiem Jana Raka. Cechowała go jednak ta niepospolita odporność godna zasłużonego miana „chłopskiej zawziętości”, która ujawnia się szczególnie u tak wybranych i wyróżnionych przez naturę jednostek, pragnących się przebić poprzez twardą skorupę niesprzyjających okoliczności i wypłynąć na świat szerszy, dostępny dla nielicznej garstki uprzywilejowanych.

Podstawowe elementy wiedzy — czytanie i stawianie znaków pisarskich — zdobył Rak wcześniej przez samokształcenie wysiłkiem. Jest z tego dumny i zupełnie zasłużenie. Tym, którzy starają się podważyć zaufanie do jego samoucznych umiejętności, rzuca mocne i jakże wymowne zapytania.

Czy nieuki tylko w błędzie? A czy rozum cały posiadli Ci, co korce kaszy w szkołach zjedli? Jeśli jeszcze w obecnej dobie w bardziej oddalonych osiedlach wiejskich dobry papier pod pióro stanowi drogi cenny i pożądanym nabytkiem, to w tamtejszym klimacie społecznym był skarbem często nie do zdobycia.

Z tego rodzaju trudnością walczyć musi i Jan Rak. Na wszystkie jednak bolączki jest rada. Dla swych celów literackich użytkuje wszelkie szpargały, jakie mu wpadną pod rękę. Wykorzystuje niezapisane skrawki starych okólników gminnych, upomnień podatkowych oraz odwrotnych stron notatek oborowych, jakie prowadził w związku z pełnioną funkcją na folwarku. Nic też dziwnego, że duża część jego poetyckiego dorobku z niepowetowaną dla nas szkodą bezpowrotnie przepadła.

Ciekawa jest metoda, jaką posługiwał się Rak przy składaniu wierszy. Polegała ona na tym (według zeznań jego córki), że starzec obmyślał treść ich i formę w czasie odpoczynku nocnego na twardym łożu parobskim, spisując je później dokładnie po przebudzeniu się nad ranem.

Pośród okolicznych włóści znany był powszechnie udział Raka w życiu społecznym. Nie było uroczystości czy to domowej czy gromadzkiej, gdzie by jego obecność uznano za zbędną.

W szczególności zaś obrzędu weselnego nie można było sobie wprost wyobrazić bez czcigodnego oratora. W każdym śródowisku zespołowym wodzirejstwo należało do niego. Prozaiczna czy rymowana mówka przeplatana często wcale sprośnymi akcentami zjawiała się u niego na zawołanie, a już to żartami mniej lub więcej rubasznymi — coś w podobieństwie stylu rejsowskiego — sypał jak „z pełnego wora”.

Obok własnych oryginalnych pomysłów czerpał duży zespół materiałów z kart „Stuletniego Kalendarza”, względnie „Pe-reł humoru polskiego” Bartoszewicza, które stanowiły składową część jego domowej biblioteki.

Rozciągało się życie Raka na przestrzeni panowania słynnych propinacji, pod których bezlitosnych brzemieniem ugięła się ówczesna wieś galicyjska. Tak jak obecnie świetlica, szkoła, dom ludowy — w czasie owym karczma stanowiła centrum życia wiejskiej gromady. Tu dobiegały różne interesy rodzinne, sąsiedzkie czy rodzinne, tu odbywały się debaty ojców gminy o różnych bolączkach społecznych, w oparach jej kojarzyły się pierwsze pomysły zrękwów. Poczciwy arendarz we wszystkich sprawach był niezastąpionym pośrednikiem.

W takiej atmosferze i poeta nasz nie mógł być obcy temu przybytkowi. I jego pociągło towarzystwo, zostające pod urokiem „pocieszycielki strapiionych”, jako jedynej ostoji dla zatopienia w niepamięci szarej codziennej niedoli.

Wspomnienie chwil pijackich znalazło wyraz u Raka w licznych jego poezjach. Ale nie tylko zastanawia Raka życie codzienne otoczenia.

Stara się on wybiegnąć myślą ku zagadnieniom wielkim, społecznym, nad którymi łamią sobie głowy — często bezużytecznie — mędrcy tego świata. Interesuje go np. problemat nadmiernego przyrostu naturalnego, który doprowadzi w konsekwencji swej do bezwzględnej przeludnienia ziemi:

„Co czas zrobi z tym natłokiem ludu, co się ustawicznie mnoży?” stawia sobie pytanie. Jak do tego zjawiska podejść, by utrzymać równowagę ekonomiczną? Częściowo przychodzi z pomocą krajowi zamorska emigracja.

Czynnik uczuciowy u Raka każe mu jednak patrzeć na nią jako na zło konieczne. Przemawia przez niego umiłowanie rodzinnych rubieży...

„Pocoś odbieżał kusek swej niwy?... pamięć w obczyźnie zniknie o tobie, ni żaden krewniak westchnie na grobie”...

Pośród tej wizji intelektualnej, której zasadnicza troska obraca się około nadmiernej populacji, zjawia się jako krańcowy jej etap straszliwe widmo wojny. Z jakże proroczym natchnieniem zarówno co do czasu jak i skutków przepowiada jej niszczytelką pożogę:

„Wiek dwudziesty jest pośledni, wszyscy ludzie będą biedni, złe się mnoży nie pomalu. zewsząd ciągnie burza szału”...

Ale nikt i nic nie będzie w stanie zażegnać zbliżającej się nawały. Cóż bowiem poradzić:

„Kiedy brak wielki ziemi i roli, to jedno wszystkich jednak boli”.

A tu na lepsze się nie zanosi, bo „w każdym kraju dzieci masa już nie cieszy, lecz przestrasza”.

Aby zapobiec niechybnemu kataklizmowi, jest jedna radykalna a zbawienna rada: „lepiej się zmieńcie, tak się nie żeńcie, na płacz siejcie naród po świecie”.

Żyje Jan Rak na pograniczu etnograficznym elementów polsko-ruskich. Miejscowym narzeczem języka sąsiadów krasił często swoje wiersze, przemawiał do nich tonem pojednawczym, pełnym serdeczności.

Bolesnie przeżywał antagonizm, jaki wyrósł za jego czasów pomiędzy dwoma słowiańskimi szczepami.

„Wszak, Rusini, pamiętacie — woła — jak my wzrosli w dymnej chacie. Razem z sobą jedli, pili, dzieci ślubami łączyli. Dziś, Rusinie, Lacha bracie, o co toż to się

WŁADYSŁAW MILCZAREK

J A R

*Dzkie bzy i dzkie szaleją tu wiśnie,
na zboczach dzień leniwie patrzy przez galezie,
nocą słowik najśłodsza nicią swoich pieśni
trzyma księżyc jak srebrny balon na uwieży.*

*Ranek spojrzysz przez rzęsy zielone, niebiesko,
uśmiechną się dziewczęta idące po wodę,
wypelzną z trawy ciche, zaroszone ścieżki...,
zbudzi się jar i będzie pił słomką pogodę.*

JÓZEF SWATON

Muzyka pośród niewidomych

W odległości ośmiu kilometrów od Krasnegostawu w woj. lubelskim, w mocno podniszczonym byłym surhowskim pałacu, mieści się pod opieką Polskiego Czerwonego Krzyża schronisko dla ociemniałych inwalidów wojennych. W schronisku tym mieszka około 21 osób powołanych na wojnę w roku 1939 i 1944, w wieku od 17 do 41 lat. Liczbę tę uzupełnić ma jeszcze kilku inwalidów z różnych stron Polski. Są to b. żołnierze lub partyzanci, ofiary okrutnej wojny, cisi bohaterowie, którzy walcząc w pierwszych szeregach, z przyczyn wybuchu nieprzyjacielskich min, postrzałów lub będąc w niewoli wskutek bombardowań lub katowań utracili całkowicie wzrok.

Dyrektorem tego zakładu wychowawczego dla niewidomych jest prof. Ruszczyk Henryk, wytrawny pedagog i doskonały organizator w dziale kształcenia i wychowania ociemniałych. W pracy dopomagają mu instruktorzy niewidomi o dużym talencie i kulturze. Duszą zakładu jest prof. Ogórkowa Lidia, niezastąpiona „lektorka” ciekawych i pożytecznych książek, współpracująca pielęgniarka i kierowniczką zapobiegliwa działu administracyjnego. Inwalidzi ci w odnośnym do personelu są bardzo subtelni, doceniają trud i oddanie się im, darząc wszystkich zaufaniem i odpowiednim szacunkiem.

Poza codziennymi warsztatowymi zajęciami i ogólnym dokształcaniem się, wszyscy ociemniały uczyć się trzy razy w tygodniu śpiewu wraz z zasadami muzyki. Dla uzdolnionych utworzono czterogłosowy chór męski, do którego niemal wszyscy inwalidzi należą. Próby zespołu odbywają się 3 lub 2 razy w tygodniu. Muzyczną edukacją w schronisku kieruje uzdolniony dyrygent ob. Bolesław Harbarczuk. Po trzymiesięcznych próbach chór osiągnął już taki poziom, że dnia 1 lutego śpiewał na uroczystym obchodzie Pol. Czerwonego Krzyża w Lublinie, a dnia 2 lutego z pełnym powodzeniem urządził dwa koncerty w Krasnymstawie. Na program złożyły się kolędy, pieśni ludowe i artystyczne, jak Moniuszki i innych. Solowe partie wykonali: Szyglaś Władysław (tenor), Maziej Józef (baryton) i Bielecki Marian (bas). Konferansjerkę prowadził też jeden z inwalidów, który w łatwiejszych pieśniach potrafi już zastąpić dyrygenta. Z powyższym chórem współpracuje od czasu do czasu Surhowski Chór Wiejskich Dziewcząt, który również wzbogacił repertuar chóru na występie w Krasnymstawie. Ciekawy i wzruszający ten koncert ściągnął tłumy publiczności, sala koncertowa była wypełniona po brzegi. Rzęśliście i z zadowoleniem oklaskiwano solistów, męski i mieszany chór, dobrze wyuczone i doskonale brzmiące. Zasłużone brawa ożywiły i uradowały tak często boleśnie i smutnie wyglądające twarze. Członkowie chóru to w większości synowie ziemni wołyńskiej, bez rodzin, które stracili niestety w latach wojny, to też zebrany czysty dochód z dwóch koncertów oddali oni z radością na najbiedniejszych repatriantów z Wołynia.

Zamilowanie do muzyki wśród ociemniałych jest bardzo duże, spora już ich gromadka gra ze słuchu na podarowanych im mandolinach, mandolach, banjo, gitarach, skrzypcach i t. p. instrumentach. Dwóch najzdolniejszych, dzięki staraniom Pow. Referatu Kult. i Szt. będzie dojeżdżał do Szkoły Umuzyczniającej w Krasnymstawie. Gra indywidualna na poszczególnych instrumentach jednak nie zadawała szerszego zespołu inwalidów, marzą oni o orkiestrze smyczkowej, a chociażby mandolinowej. Poza książkami do czytania dopytują się o fortepian, odbiornik radiowy, których brak odczuwa się w schronisku.

Wobec powyższych danych, na łamach tak poczytnego pisma apeluję do społeczeństwa o przyjsię z pomocą ociemniałym w postaci książek, radia, instrumentów muzycznych, nut na chór męski, mieszanym i śpiew solowy, bo placówka ta mimo opieki troskliwej personelu i ze strony Pol. Czerwonego Krzyża wymaga zainteresowania szerszego społeczeństwa, by tym cichym i zasłużonym bohaterom, po utracie oczu, najbliższych z rodziny, a tak miłującym sztukę, życie w schronisku, jak najbardziej umilić.

Poranek poezji staropolskiej

Wiele i zjadale biada się obecnie na temat powojennego obniżenia wymogów w zakresie sztuki, zwłaszcza gdy idzie o dziedzinę słowa. Tym wszystkim nałogowym a niepoprawnym biadaczom należałoby ukazać tłum, walczący o zdobycie miejsc w Starym Teatrze w Krakowie, kwadrans przed rozpoczęciem poranku, poświęconego staropolskiej poezji.

Była to impreza wszechstronnie udana. Słowo wstępne dra Z. Leśnodorskiego nawiązywało do sztuki i zajmowało trzy stulecia naszej literatury, wprowadzając publiczność w odpowiedni nastrój. Nastąpiły recytacje; uwzględniono dorobek mistrzów naszej mowy: Kochanowskiego, Sępa-Szaryńskiego, Potockiego, Zimorowicza, Morsztyna, Krasickiego, Kochowskiego, Naruszewicza i Trembeckiego (osobiście żałuję, że nie znalazło miejsca dla Reja).

Recytacje osiągnęły wysoki poziom i nie w tym dziwnego, skoro wśród wykonujących znalazły się nazwiska H. Gallowej (cóż za nieskazitelna dykcja i subtelna interpretacja!), Ciecierskiego (rzadko napotykanymiar artystyczny), Mierzejewskiego (przednia, nieprzeszarżowana ani na sekundę vis comica), Fuldego (specjalista w wydobywaniu skąd należy soczystej rubasznosci).

LISTY DO REDAKCJI

Odtwarzać czy tworzyć?

Nawiązując do artykułu polemicznego o pomnik Mickiewicza w Krakowie, napisanego przez nestora naszych rzeźbiarzy prof. Jana Szczepkowskiego, zamieszczonego w Gazecie Ludowej z dnia 8 stycznia r. b., pragnąłbym podzielić się z Czytelnikami swymi uwagami, dotyczącymi poglądów chorobliwej dążności do odtwarzania dzieł minionych epok.

Profesor Szczepkowski w cytowanym artykule podtrzymuje myśl odtwórczą i daje cenne uwagi, odnoszące się do sytuacyjnego planu umieszczenia pomnika.

Pomnik Rygiere, Matejki, czy Kurzawy? Oto pytanie, co do którego dyskusja powinna dojść do szybkiego porozumienia — rezultatu.

Koncepcja odtwarzania jednego z tych pomników jest nieporozumieniem i bolesnym objawem braku wiary we własne twórcze siły. Który z rzeźbiarzy z pełną odpowiedzialnością za rezultat podejmie się odtworzenia jednego z tych projektów?

Sądzę, że nie ma takiego, a jeżeli się znajdzie — to pobudką w dzisiejszych ciężkich czasach będzie chęć zarobienia trochę grosza.

Okres, który przeżyliśmy i przeżywamy, poza stroną destruktywną, niszczytelką ma w sobie też coś zapładniającego.

Odtwarzać czy tworzyć — oto aktualne zagadnienie. Brak zaufania w nasze możliwości twórcze opiera się na fałszywych pojęciach i fatalnych rezultatach widocz-

nych w ostatnio zrealizowanych pomnikach. Coś niezadowolonego wtargnęło w dziedzinę twórczą.

Wspomnieć trzeba przychylnie o młodych wykonawczyńiach i wykonawcach: Kiernik, Kruszewskiej, Szumańskiej, Zielińskiej, Gawliku, Sheybalu i Zaczuku, wykazujących żapał i bezpośredniość w recytacjach. Osobną, ciekawą pozycję poranku stanowiły, inscenizowane pomyslowo przez H. Gallowę, tchnące niezmiennym czarem „Sobótki” Kochanowskiego. Sugestywna muzyka młodego kompozytora krakowskiego, Waleriana Pawłowskiego, oraz wdzięczne ewolucje taneczne układu W. Szczukówny przyczyniły się do udanej całości. W „Sobótkach”, poza wymienioną czwórką młodych artystek, uczestniczyły uczennice Studia przy Teatrze Starym. Z tych zwróciła na siebie uwagę pięknym materiałem głosowym Sznerrowna, a prawdziwie dramatycznymi akcentami Hlakowicz.

Obsady dopełniły skutecznie Dzikówna, Litewska, Maklakiewicz, Racięcka, Stebnicka i Zarzycka.

Z nieprzebranych skarbów liryzmu, satyry i humoru, pozostawionych nam przez XVI, XVII i XVIII wiek, można uzyskać materiał do obfitego cyklu poranków, które napewno znajdą gorących, złaknionych piękna odbiorców.

W. G.

Chorobę leczyć należy w początkowym jej stadium. Czas zabrać głos i odważnie powiedzieć: zaczynamy usuwanie chronicznych błędów.

Prace i konkursy związane z dopełnianiem wylomów, poczynionych przez barbarzyńcę XX wieku w polskim intelektualno-twórczym dorobku, dadzą rezultat, jeżeli odważni zabrają głos, fachowcy usuną laików, a czynniki oficjalne okażą zrozumienie i z całym poświęceniem wezmą na siebie zaszczytną rolę mecenasów sztuki.

Trochę uwagi!

Zacznijmy od pomnika Mickiewicza. Jest to jedna z nieprzemijających postaci naszego geniuszu. Obraz Jego: pompatyczno-ekliwo-romantyczny nie odpowiada duchowi czasu i nam, którzy przeżyliśmy koszmar sześciu lat. Chcemy Mickiewicza, który wie dzie nasz szczer słowiański ku lepszeniu jutru.

Myślą przewodnią niech nam będą słowa jednego z naszych poetów: Trzeba naprzód iść i świecić.

Józef Jan Gosławski

WŚRÓD CZASOPISM

„KULTURA I OŚWIATA”

Do naszego licznego dorobku wydawniczego przybyła jeszcze jedna poważna pozycja w postaci miesięcznika p. n. „Kultura i Oświata”, wydanego nakładem Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury. Zagadnienia oświaty dorosłych i potrzeba szkolenia nowych kadr pracowników oświatowych nabierają w chwili obecnej specjalnego znaczenia, a omawianie tych aktualnych problemów w sposób dorywczy na łamach prasy codziennej było niewystarczające. Dlatego też nowy periodyk jest czasopismem bezsprzecznie potrzebnym i pożytecznym. Obecnie ukazał się drugi numer pisma, podwójnej objętości, którego bogata i starannie dobrana treść zasługuje na szersze omówienie.

W czołowym artykule p. t. „Pojmowanie kultury” Zofia Radlińska daje wnikliwą analizę problemów związanych z kulturą i jej dorobkiem, uzależniając jej stały rozwój od „powszechnej twórczości we wszystkich dziedzinach życia i powszechnego spożytkowania dziedzictwa kulturalnego”.

W aktualnym zagadnieniu dotyczącym piśmiennictwa ludowego, omawianym wielokrotnie na łamach tygodnika „Wieś”, zabiera głos prof. Stanisław Pigoń w pracy p. t. „Główne problemy literatury ludowej”. Artykuł, napisany rzeczowo i wyczerpująco, jest końcowym akordem w namiętej polemice prowadzonej niedawno przez wielu pisarzy, którą zakończyć można następującymi słowami autora: „literatura ludowa jest literaturą utalentowanych chłopów, a nie nieogrodzoną domeną niepowściągliwych wierszopisów, którzy niedomogi talentu latają tym tytułem, że są synami chłopskimi”.

WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

W Poznaniu rozpoczęła swoją działalność Księgarnia Zdzisława Gustowskiego. Nakładem tej firmy ukazały się cztery książeczki dla dzieci, pióra Wujka Czesia. Są to: „Pijany kaczor”, „Przygoda Kręcickiego” oraz „Bunt w podwórzu”, ciekawe i dowcipne historie ilustrowane przez Witolda Gawęckiego. Na specjalną uwagę zasługują rysunki, doskonale w swej prymitywizacji,

Z dalszej treści numeru zasługuje na uwagę artykuł Franciszka Urbańczyka p. t. „Czytelnictwo jako integralna część oświaty”, ze względu na aktualność poruszanego tematu, nakazem bowiem chwili jest należyte zorganizowanie czytelnictwa, umożliwiającego realizację idei upowszechnienia kultury i obdarzenia najszerzych warstw dobrodziejstwem książki.

Z kolei Piotr Banaszkowski, opierając rozwój akcji oświatowo-kulturalnej o podstawy dobrobytu materialnego, omawia projekt utworzenia Instytutu Gospodarczego, którego celem byłoby opracowanie metod i sposobów podniesienia dochodowości drobnych warsztatów pracy, a w przyszłości rozbudzenie w społeczeństwie inicjatyw i zdolności organizacyjnych.

Interesujący pod względem materiału numer dopełnia kronika oświatowa, przegląd książek oraz czasopism.

I. W.

W Lublinie wyszło nowe czasopismo oświatowo-kulturalne „Światło”. Artykułem wstępnym Jacek Bocheński, redaktor tego pisma, formułuje naczelne postulaty, jakie pismo ma zamiar realizować. Pismo ma służyć potrzebom świetlicowym. W numerze tym spotykamy prace: Szewczyka, Wielickiego, Gurki, K. A. Jaworskiego, Anny Kamińskiej. Dotychczas wyszły trzy numery świadczące o dużych ambicjach pisma.

Dział poezji reprezentują: K. A. Jaworski, I. B. Ożóg, Jacek Bocheński, Jan Nagrabiecki, Czesław Janczarski. Spodziewamy się obszernych materiałów związanych z inscenizacjami, młodą twórczością ludową i różnymi palącymi problemami natury aktualnej.

J. N. K.

K R O N I K A

LITERATURA

NOWELIZACJA PRAWA AUTORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Sztuki przystąpiło do prac związanych z nowelizacją obowiązującego dotychczas prawa autorskiego.

Przygotowane dekrety będą miały na celu: rejestrację i zabezpieczenie umów wydawniczych z okresu okupacji (co spowoduje ujawnienie ocalałych rękopisów), „odmrożenie” całego szeregu utworów o wielkiej wartości literackiej i społecznej, których drukowanie było dotychczas związane z wieloma różnymi trudnościami; stworzenie funduszu twórczości artystycznej, który czerpałby swoje dochody głównie z oprocentowania wykonywanych, choć już wygasłych praw autorskich.

NARODOWE WYDANIE DZIEŁ MICKIEWICZA

Od lipca r. ub. Ministerstwo Kultury i Sztuki przygotowuje t. zw. „Narodowe wydanie dzieł Adama Mickiewicza”. Wydane zostaną dwie wersje: Wydanie Powszechne w 15 tomach, w późniejszym zaś terminie Wydanie Naukowe w 16 tomach. To ostatnie będzie kontynuacją przedwojennej edycji t. zw. Sejmowej.

W ciągu marca r. b. Ministerstwo zamierza dać do druku od razu całą pierwszą serię Wydania Powszechnego, obejmującą w 4 tomach wszystkie utwory poetyckie i dramatyczne wieszczą. Przewidziane jest

PLASTYKA

ZAGRANICA ZOBACZY POLSKA WYTWÓRCZOŚĆ LUDOWĄ

Staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej została zorganizowana wystawa polskiego przemysłu ludowego i rękodzielniczo-artystycznych, w salach Muzeum Narodowego w Warszawie. Wystawa ta wkrótce rozpocznie objazd miast Europy oraz Stanów Zjednoczonych i Kanady. Już są gotowe do wyjazdu takie cenne eksponaty, jak: kolekcja kilimów artystycznych Stefana i Heleny Gałkowskich, figurki dekoracyjne z drzewa artysty-plastyka J. Miklaszewskiego, wykwinna biżuteria z drzewa inż. arch. J. Różyckiego, lalki art. malarki N. Piwowarskiej, samodzielny Trebortowej i Bujakowej, wyroby przemysłu odzieżowego Krystyny Tołoczko z Zakopanego, koronki Galdzińskiej i w. in. Specjalny dział stano-

wydanie całości Wydania Powszechnego jeszcze w ciągu roku bieżącego.

Dziela te zostaną wydane w bardzo dużym nakładzie (ok. 100.000 egzempli.), a cena zostanie skalkulowana w ten sposób, aby, bez zysku, mogła pokryć koszty własne wydawnictwa.

W skład komitetu redakcyjnego Wydawnictwa powołanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, wchodzi m. in.: prof. St. Pigoń, prof. W. Borowy, prof. J. Krzyżanowski i J. Przyboś. Redaktorem jest Leon Płoszewski.

LITERATURA POLSKA W PRZEKLADACH

Tursz-Dumarais przełożył na język francuski sztukę Iwaszkiewicza „Maskarada”. Poza tym pracuje nad przekładem powieści Wł. Kowalskiego „Bestia” i L. Kruczkowskiego „Sidła”.

W Londynie Florian Sobieniowski przygotowuje do druku w przekładzie angielskim tom opowiadań pisarzy polskich z okresu okupacji. Tenże tłumacz przyswoił literaturze angielskiej „Przeziębłą” Żeromskiego dla jednego z teatrów londyńskich.

Do poselstwo polskiego w Brukseli zwrócił się wybitny pisarz belgijski Franz Hellens, prosząc o dostarczenie mu dzieł literatury polskiej celem dokonania przekładu na język francuski.

wią wyroby artystów-chłopów, dostarczone przez regionalne Podhalańskie Spółdzielnie i firmy, jak Centrala Gospodarcza i sklep Fajkoszowej w Zakopanem. Znaczenie tej wystawy objazdowej jest dla nas bardzo doniosłe. Wyroby przemysłu ludowego i rękodzielniczo-artyst., zaznajamiając cudzoziemców z artystyczną polską produkcją ludową, zdobędą na rynku zagranicznym z dawną należną pozycję, zapychane przed wojną przez eksport niemiecki, i otworzą w kraju wielkie możliwości dla wyzyskania okresów martwego sezonu na wsi, umożliwiając tworzenie wiejskich warsztatów pracy przemysłu ludowego. Wystawy objazdowe dowiodą zagranicą wielkiej żywotności i ruchliwości naszego kraju, który mimo ogromnego zniszczenia, w rok po wojnie może pochlubić się dorobkiem o wielkiej wartości artystycznej.

FILM

FILMY BARWNE I TRÓJWYMIAROWE W Z. S. R. R.

Pierwsze filmy radzieckie kolorowe zrealizowane w latach 1936—1940 wykonane były metodą dwubarwną, nie odbiegającą w pełni całej skali barw, spotykanych w naturze. Dopiero w roku 1941 w kinematografii radzieckiej zastosowano trójbarmny system zdjęć, przy pomocy którego nakręcono kilka krótkometrażówek i filmów rysunkowych. Dwa lata temu powstał pierwszy kolorowy film długometrażowy p. t. „Iwan Nikulin — rosyjski malarz”. Równocześnie laboratoria naukowo-badawcze prowadziły prace nad stworzeniem nowego typu taśmy wielowarstwowej. Rezultaty przewyższały znacznie dotychczasowe osiągnięcia w tej dziedzinie. Nową metodą nakręcono dwa dłuższe filmy dokumentarne „Parada Zwycięstwa” (wyświetlany już w Polsce) i „Parada Sportowa 1945 r.”.

Obecnie w realizacji znajduje się szereg filmów pełnoprogramowych przy użyciu taśmy wielowarstwowej. W Moskwie, Kijowie i Leningradzie przystąpiono do budowy nowych fabryk i laboratoriów, przeznaczonych do wyrobu i obróbki taśmy barwnej.

Najciekawsze osiągnięcia ma do zanotowania kinematografia radziecka na polu filmu trójwymiarowego. Pięć lat temu odbył się w Moskwie pierwszy pokaz publiczny filmu stereoskopowego p. t. „Koncert”, przy zastosowaniu wynalazku inż.

ERRATA

W Nr. 5 „Zdroju”, w recenzji M. Bechczyc-Rudnickiej p. t. „Dwa balety polskie”, w wierszu 10-ym od dołu, spalta druga, zamiast „tej rapsodii odtąnczonej na serio...” należy czytać: „tej parodii odtąnczonej na serio”.

Odpowiedzi redakcji:

T. M. w Bydgoszczy — Jeszcze nie zamieścimy.

K. W. w Chelmie — Pierwszy i trzeci numery „Zdroju” wyczerpane. Inne możemy dostarczyć.

R. Z. w Gdyni — „Zdrój” honoruje artykuły.

Z. K. w Jeleniej Górze — Fragment powieści otrzymaliśmy. Po zapoznaniu się z treścią damy odpowiedź.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Cena numeru dwutyg. „Zdrój” 6 zł. Prenumerata wraz z opl. poczt.: miesięcznie 13 zł, kwartalnie 39 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje: FRANCISZEK TWARDON.

„CEZAR I KLEOPATRA” SHAWA NA EKRANIE

W londyńskim kinie „Odeon” odbyła się uroczysta premiera „Cezara i Kleopatry” filmu osnutego na tle słynnej sztuki Shawa, napisanej w r. 1900. Jest to film kolorowy. Produkcję rozpoczęto w r. 1943. Kosztorys wynosił 400.000 funtów — w praktyce koszt ten wzrósł do 1.300.000! Zbudowano (w miejscowości Denham) całe sztuczne miasto, z wodociągami i specjalnym oświetleniem. Wodę wypompowano z rzeki River do basenu, po którym pływały statki Cezara. W jednej ze scen zbiorowych brało udział 2.000 statystów! Prywatna policja pilnowała miasta nocami. Główne role grali: Vivian Leigh (Kleopatra) i Claude Rains (Cezar).

TREŚĆ NUMERU:

Dr St. Jerschina — Fortepian Szopena.
J. N. Kłosowski — Szkodliwy letyszym.
K. Barański — O „Polskim Radio” słów kilka.
W. Bak — Z Płatej Ewangielii (wiersz).
W. Gralewski — „Reflektor”.
J. Czachowicz — We czterech (wiersz).
St. Grędziński — Choinka (wiersz).
W. Gralewski — Dni ubiegłe (wiersz).
T. Goździkiewicz — Wyrok (nowela).
A. Wielhorski — Ze wspomnień o Karolu Szymanowskim.
E. Szermentowski — Moja znajomość z Iffem i Petrowym.
H. Syska — Jan Rak — pańszczyźniany poeta.
J. Swatoń — Muzyka pośród niewidomych.
W. Miltczarek — Jar (wiersz).
W. G. — Poranek poezji staropolskiej.
J. J. Gosławski — Odtwarzać czy tworzyć?
Wśród czasopism.
Kronika.
Ilustracje: Cyprian Norwid (portret).
Sarkofag Szymanowskiego na Skalce.

Administracja czynna codziennie od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.